

Gill Sanderson

Odnaleziona rodzina

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po raz nie wiadomo który przyśnił jej się ten sam sen. Ostatnio powtarzał się coraz rzadziej, mniej więcej raz na miesiąc zamiast dwa lub trzy razy w tygodniu. Lekarze zapewniali, że te obrazy stopniowo przestaną ją nawiedzać, że czas leczy rany, ale w jej przypadku jeszcze to nie nastąpiło. Częstotliwość tego snu rzeczywiście malała, ale jego treść działała na nią tak samo przygnębiająco.

Obudziła się zapłakana, spocona i rozdygotana. Obrazy z przeszłości już zniknęły. Kiedyś niektóre z tych scen przepęłniały jej serce radością. Niemowlę w łóżeczku, jego pierwsze kroki, uśmiechnięta buzia.

Maria Wyatt zerknęła na budzik. Piąta rano. Do świtu jeszcze trzy godziny, bo to dopiero styczeń. Leżała, czując, jak jej oddech się uspokaja, a serce wraca do normalnego rytmu.

Dzisiaj otwiera się nowy rozdział w jej życiu. Szkoda tylko, że zaczyna się tak ponuro.

Nie ma mowy, by znowu zasnęła. Wstała, włożyła szlafrok i wyszła na korytarz domu dla pielęgniarek w nadziei, że natknie się na kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać. Korytarz świecił pustkami. No cóż, sama musi sobie z tym poradzić. Dotarła do kuchni, zrobiła herbatę, po czym wróciła do siebie. Przysiadłszy na łóżku, starała się myśleć pozytywnie.

Kiedyś to się na pewno skończy, przeszło jej przez głowę.

Wysunęła dolną szufladę w ściennej szafie, by spod starannie poskładanych letnich rzeczy wyjąć gruby album. Nie trzymała zdjęć na wierzchu, wręcz je ukrywała, by nikt ich nie oglądał i nie zadawał pytań.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w fotografię, na której siedzi z dzieckiem. Popatrzyła na swoją wyraźnie młodszą twarz sprzed lat, po czym przeniosła wzrok na lustro

stojące na komódce. Bardzo się zmieniła, mimo że upłynęło zaledwie sześć lat.

Energicznym ruchem zamknęła album. Życie toczy się dalej. Trzeba pomyśleć o nowej pracy. Siedząc na łóżku, sięgnęła po gruby podręcznik położnictwa. Przerzucając kartki, natknęła się na zasuszone kwiaty. Od dziecka lubiła to zajęcie. Tym razem nie były to roślinki zebrane na polu, lecz czerwone i żółte róże. Gdy jej przyjaciółka i nauczycielka Jenny Carson, teraz Jenny Donovan, brała ślub, Maria była jej druhną, a te róże pochodziły ze ślubnej wiązanki Jenny. Uśmiechnęła się do wspomnień: życie nie jest takie złe.

Przez godzinę przeglądała podręcznik, po czym wzięła prysznic i włożyła nowy uniform. Uznała, że jest całkiem zwykowny. Do tej pory, pracując w różnych szpitalach, nosiła strój operacyjny albo tradycyjny niebieski uniform położnej. Ten wydał się jej odrobinę bardziej elegancki, bardziej odpowiedni do wizyt w domach pacjentek.

Teoretycznie nadal zatrudniał ją szpital, ale została oddelegowana do pomocy potrzebującym. Jej szpital otworzył niedawno dwie placówki w odległych dzielnicach miasta. Ich celem była przede wszystkim opieka nad przyszłymi matkami i niemowlętami. Marię przydzielono do przychodni w Landmoss.

Dyplom zdobyła zaledwie pół roku wcześniej, funkcję tę powinna pełnić osoba z większym doświadczeniem, ale położna, którą do niej wyznaczono, złamała nogę i dostała półroczne zwolnienie. W tej sytuacji Jenny zaproponowała tę posadę Marii.

- Nabierzesz doświadczenia - przekonywała ją. - Poza tym jesteś starsza od reszty dziewczyn. Wiem, że sobie poradzisz.

- Odpowiada mi taka praca - uznała Maria po chwili namysłu. - Chętnie przeniosę się na jakiś czas do przychodni.

Ale to jest tylko położnictwo i ginekologia? Tylko mamy i noworodki? Żadnych małych dzieci?

- Żadnych małych dzieci. - Przyjaciółka przyjrzała się jej uważnie. - Chyba że chcesz się nimi zająć.

- Nie, jeszcze nie. Może za rok albo dwa zmienię zdanie... ale na razie wolę pracować jako położna.

- Rok albo dwa? - powtórzyła Jenny. - Nie zwlekaj z tym za bardzo.

- Powoli staję na nogi. - Maria wzruszyła ramionami. - Już tak nie cierpię. Nie aż tak bardzo.

- To dobrze. Jeszcze jedna sprawa: twój przełożony zechce przejrzeć twój życiorys. Dowie się, że straciłaś synka.

Maria głęboko się zamyśliła.

- Wolałabym, żebyś ty mu o tym powiedziała - szepnęła po chwili.

Trzymając Marię za rękę, Jenny odezwała się zmienionym, zasadniczym tonem:

- Mam dla ciebie jeszcze jedno ostrzeżenie. Najczęściej będziesz pracowała w pojedynkę. W szpitalu zawsze można liczyć na czyjąś pomoc, ale tam może być nieprzyjemnie, a czasami nawet niebezpiecznie. Dasz sobie radę?

- Dam. Chyba wiesz, że nie jestem tchórzem.

- W pewnym sensie... Będziesz pracowała z naszym położnikiem, doktorem Tomem Ramseyem. To bardzo porządny facet, ale niech cię Bóg broni, żebyś nazwała go Blondasem.

- Słucham?! - Maria nie dowierzała własnym uszom.

- Doktor Ramsey jest blondynem. Niezwykłym - wyjaśniła Jenny. - Ale myślę, że się dogadacie.

Sprawa została załatwiona.

Maria po raz ostatni zerknęła w lustro. Przyglądała krótko przycięte ciemne włosy, po czym sięgnęła po podręczną torbę

z wyposażeniem, która czekała na nią na łóżku. Od tej pory już nigdy się nie rozstaną.

Pierwszy dzień w nowej pracy. Nie zaszkodzi zameldować się przed czasem. Na dworze było zimno i ledwie świtało. Dopiero co skończyły się święta Bożego Narodzenia, więc do końca zimy było jeszcze daleko.

Na desce rozdzielczej jej auta leżał niewielki notesik: od dzisiaj będzie otrzymywała zwrot za wyjeżdżoną benzynę. To istotna nowość w jej życiu.

Zaaferowana tym, że zaczyna nowe życie, powoli zapominała o przygnębiającym śnie. Przychodnia w dzielnicy Landmoss znajdowała się w odległości dziesięciu kilometrów od szpitala, w sąsiedztwie nowo wybudowanych kolonii zamieszkanymi głównie przez ludzi młodych. Jednak nieopodal stały też wielopiętrowe bloki, których lokatorów można, delikatnie mówiąc, uznać za „rodziny z problemami”.

- Bardzo często będziesz tam miała do czynienia z nastolatkami w ciąży - uprzedziła ją Jenny. - Twoim zadaniem jest zapewnienie im należytej opieki. Poznasz tam ciekawych ludzi.

Dojechała bez przeszkód, ponieważ większość ruchu odbywała się w stronę śródmieścia, a nie przedmieść. Gdy skręciła w ulicę, przy której znajdowała się przychodnia, jej wzrok padł na niewielkie centrum handlowe.

Ściągnęła brwi.

Na chodniku stała grupka ludzi, którzy przyglądali się czemuś lub komuś, kto leżał na chodniku. Czyżby wypadek?

Nie posiadała dyplomu pielęgniarskiego, ale przeszła szkolenie medyczne, więc uznała, że może być pomocna.

Wysiadając z samochodu, zabrała swą podręczną torbę. W zestawie miała kilka rzeczy, które nawet w takiej sytuacji mogłyby się przydać.

- Proszę mnie przepuścić. Postaram się mu pomóc.

- Wszedł mi prosto pod koła - usłyszała zdenerwowany głos. - Nic nie mogłem zrobić. Wpadł na tę latarnię.

Rozejrzawszy się, zobaczyła młodego mężczyznę. Spostrzegła, że przy pasku ma komórkę.

- Niech pan wezwie karetkę. - Przeniosła wzrok na ofiarę zderzenia.

Na chodniku leżał mężczyzna w starszym wieku, nieprzytomny, z zakrwawioną głową. Ktoś okrył go płaszczem. Jeden z przechodniów pochylił się, by podłożyć mu coś pod głowę.

- Niech pan nie unosi mu głowy! - zawołała. - Najpierw trzeba sprawdzić, czy nie doznał uszkodzenia kręgosłupa!

Przechodzień wyprostował się. Widać było, że z ulgą przyjął obecność kogoś, kto przejmie odpowiedzialność.

Przyklękła obok ofiary wypadku, by sprawdzić stan dróg oddechowych, oddychanie i krążenie. Mężczyzna stracił przytomność, ale żył. Uniosła okrywający go płaszcz, ale nie zauważyła, by mocno krwawił. Najpoważniej wyglądała rana na głowie. Otworzyła torbę, naciągnęła rękawiczki i sięgnęła po sterylny tampon, przeznaczony wprawdzie do tamowania krwotoków ginekologicznych, ale przydatny i w takiej sytuacji. Nie podobał jej się kąt, pod jakim leżała głowa mężczyzny, ale torba położnej nie jest wyposażona w kołnierz ortopedyczny.

- Lekarz? - usłyszała za plecami.

- Nie - odparła, nie odwracając się. - Jestem położną. Robię, co mogę.

- Za to ja jestem lekarzem. Przejąć go od pani?

Nie czekając na odpowiedź, ukląkł obok niej. Gdy na niego zerknęła, zaparło jej dech w piersiach.

Przypomniała sobie, jak Jenny mówiła, że jej przełożonym będzie doktor Tom Ramsey, uczulony na przezwisko Blondas. Oto i on! To się nazywa blond? To czyste złoto! Mimo że był

zimowy poranek, mimo że zajmowali się nieprzytomnym pacjentem, miała ochotę pogłodzić te złociste, falujące włosy, by poczuć ich jedwabistą miękkość.

Drugi raz wstrzymała oddech, gdy on spojrzał na nią. Co tam włosy, ale ta twarz... Zebrała się w sobie: on się nie uśmiecha, to nie jest spotkanie towarzyskie...

- Kazałam wezwać karetkę, sprawdziłam jego parametry życiowe - zameldowała. - Jak mogę panu pomóc?

Delikatnymi ruchami obmacywał kark nieprzytomnego.

- Niech pani otworzy moją torbę - polecił - i wyjmie kołnierz. Założymy go, a potem poczekamy na ambulans.

Wyjęła kołnierz i założyła go z pomocą lekarza.

- Domyślam się, że jest pani naszą nową położną - powiedział, gdy zrobili wszystko, co w tej sytuacji mogli. - Maria Wyatt? A ja nazywam się Tom Ramsey. Cieszę się, że nareszcie pani do nas dołączyła.

- Tak, Maria Wyatt to ja.

- Teraz już pozostało czekać na karetkę - oświadczył. - Ale zostanę przy nim. Na wszelki wypadek. Czy może pani wyświadczyć mi przysługę?

- Z przyjemnością.

Kiwnął głową w stronę niebieskiego samochodu.

- Tam siedzi mój czteroletni syn James. Na pewno przejął się tym, co zobaczył. Zabierze go pani do przychodni? Do przedszkola.

Maria drgnęła.

- Jestem położną, nie znam się na małych chłopcach. Wolałabym przydać się tutaj.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Nic tu po pani, za to może pani zrobić coś dla małego, przestraszonego chłopczyka. - Zamyślił się. - Chyba przesadziłem. Nic mu się nie stanie, jak posiedzi w samochodzie. Niech pani tu zostanie.

Podniosła się z klęczek i otrzepała spódnicę.

- Lepiej go stąd zabrać - stwierdziła. - Wezmę go do mojego samochodu.

Przekonywała się w duchu, że to przecież nic strasznego, jeśli przez pół godziny będzie opiekowała się małym dzieckiem. Każdy to potrafi. Każdy, ale nie ona. Zacisnęła zęby. Wolałaby pomagać lekarzowi. Trudno.

Otwierając tylne drzwi jego samochodu, zmusiła się do uśmiechu.

- Cześć. Mam na imię Maria. Twój tata jest teraz zajęty, więc poprosił mnie, żebym swoim autem zawiozła cię do przychodni.

Chłopiec patrzył na nią nieufnie,

- A ja jestem James. Tata nie pozwala mi oddalać się z nieznajomymi.

- Słusznie. I dlatego razem go zapytamy, czy możesz ze mną pojechać.

Podawała mu drżącą dłoń.

Na ich widok doktor Ramsey pokiwał głową.

- James, jedź z tą panią, a ja niedługo dojadę. Twarz chłopca się rozjaśniła. Uśmiechnął się do

Marii i mocniej ścisnął jej rękę.

- Tato, czy ten pan wyzdrowieje?

- Tak, ale teraz nie wolno mu się ruszać. Zmykaj!

Społa się napracowała, zanim udało jej się przenieść fotelik Jamesa z jednego samochodu do drugiego i ponownie go zainstalować. Mimo to zrobiła to bardzo starannie, mając świadomość, że do większości wypadków dochodzi blisko domu.

Usiadła za kierownicą mocno speszona. Nie taki miał być początek jej pierwszego dnia w nowej pracy. Wyraźnie zaznaczyła, że jest położną oraz że podejmuje się opieki nad kobietami w ciąży, rodzającymi oraz noworodkami. Może

odbierać porody w domu, ale zastrzegła sobie, że nie będzie zajmowała się małymi dziećmi. Jej rola i kontakt z niemowlętami miał się kończyć dwadzieścia osiem dni po narodzinach.

Zgoda, tego nikt nie przewidział, ale ona od czterech lat nie miała do czynienia z małym dzieckiem! Na co jej przyszło?!

Stała na parkingu, rozejrzała się i uśmiechnęła. Miała przed sobą nowy, ładny, piętrowy budynek z czerwonej cegły. Westchnęła, widząc w oknach solidne kraty. No cóż, wszędzie są narkomani gotowi ukraść, co im wpadnie w rękę.

Wyjechała z domu przed czasem, by móc się rozejrzeć po swoim nowym królestwie, sprawdzić sprzęt i obmyślić program dnia. Wyjaśniła Molly, recepcjonistce, dlaczego doktor Ramsey sam nie przywiózł syna.

- W przedszkolu jeszcze nikogo nie ma - poinformowała ich Molly, ale widząc markotną buzię Jamesa, dodała: - James, oprowadź Marię po przedszkolu, pokaż jej zabawki. Masz tu klucze. Zaraz przyniosę kawę i sok pomarańczowy.

Maria miała nadzieję, że jak tylko wejdzie do przychodni, natychmiast przekaże chłopca innym opiekunkom, ale on wziął ją za rękę i poprowadził długim korytarzem.

- Długo już chodzisz do przedszkola?

- Kilka dni. Tata mnie przywozi.

- A nie mama?

- Nie mam mamy. Moja mama umarła. Kiedyś nie popełniłaby takiego faux pas. Czuła, że

lubi małego Jamesa, bo to dziecko potrafi utrzymać dystans. Powinna jednak zachowywać się jak profesjonalistka. A to, że rola, która teraz jej przypadła, niewiele ma wspólnego z jej profesją... No cóż, trudno. To nie potrwa długo.

- James, nie znudziło ci się być małym chłopcem? - zapytała niespodziewanie dla samej siebie. - Nie wolałbyś być żabą?

Chłopiec o pomalowanej na zielono twarzy przykucnął w rogu pokoju.

- Jestem bardzo głodną żabą! - krzyknął. - Widzę muchę. Zaraz skoczę, a ona przylepi mi się do języka.

Dokicawszy na środek pokoju, wystawił język, po czym wrzasnął:

- Tata!

Maria odstawiła słoik z zieloną farbą. W drzwiach stał doktor Ramsey. Teraz, gdy zdjął płaszcz i marynarkę, biel jego koszuli jeszcze bardziej podkreślała złocisty odcień włosów. Przyjrząwszy mu się dokładniej, stwierdziła w myślach, że już dawno nie widziała tak przystojnego mężczyzny. Poczula też, że serce bije jej mocniej niż normalnie. Taka reakcja bardzo ją zdziwiła.

Tom się uśmiechał. Nie do niej, lecz do syna. Przez chwilę było jej przykro, że nie ma nikogo, kto tak uśmiechałby się do niej.

- Jesteś żabą? - zwrócił się do Jamesa. - Wobec tego ja jestem jeszcze większą, jeszcze lepszą żabą. - Przykucnął, po czym trzema wielkimi skokami znalazł się przy nim. - Słabe dzisiaj te muchy, no nie?

Gdy chłopiec turlał się ze śmiechu, Tom podszedł do Marii.

- Jestem pełen uznania, jak pięknie go pomalowałaś. Jemu też się podoba - powiedział. - Chyba już nieraz to robiłaś.

- Pomalowałam go, patrząc na wzór. Każdy to potrafi.

- Ale nie ja, a on na pewno mnie poprosi, żebym to powtórzył. Jak się zachowywał?

- Bez problemów. Bawiliśmy się doskonale. Tom pokiwał głową.

- Nie bardzo chciał chodzić do przedszkola, a i ja nie byłem pewien, czy dobrze robię. Ale jak już wiem, że ty tu jesteś, a on cię zaakceptował, mogę spokojnie zająć się swoimi sprawami.

Pokręciła głową. Nie należy robić mu żadnych nadziei.

- Mogę do niego zaglądać, ale jestem położną. Podejrzewam, że będę miała pełne ręce roboty. - Dobrze byłoby zmienić temat. - Co z tym człowiekiem z wypadku?

- Przekazałem go ratownikom. Miałaś rację, miał uraz kręgosłupa. Dobrze, że nie pozwoliłaś go ruszać.

- Cieszę się, że się przydałam. Skoro już tu jesteś, przekażę ci Jamesa i pójdę do swoich zajęć. - Powiodła wzrokiem po pokoju, zabawkach, dziecięcych rysunkach na ścianie. Za dużo wspomnień. Trzeba stąd wyjść jak najszybciej.

Tom badawczo się jej przyglądał.

- Pani Roberts, nasza przedszkolanka, zjawi się lada moment. Na razie zabiorę go do siebie. Zajrzyj do mnie, powiedzmy, za godzinę. Porozmawiamy o twoich obowiązkach.

- Tak jest, panie doktorze.

Może los jej wyjątkowo sprzyjał, ale tak się złożyło, że wszyscy lekarze, z którymi wcześniej pracowała w szpitalu Della Owena, należeli do elity i zawsze chętnie służyli pomocą. Z kilkoma młodszymi nawet spotykała się po pracy. Ale nic z tego nie wyniknęło. Tym bardziej że nie szukała bliższych znajomości.

Teraz poznała lekarza, z którym jeszcze nie pracowała. Instynktownie przyjęła, że i on jest dobrym specjalistą, a mimo to w jego obecności ogarniał ją dziwny niepokój. Nonsens! Niemożliwe, by zakochała się w nim już pierwszego dnia pracy w nowym miejscu. Normalnie, pochłonięta swoimi zajęciami, nie miała czasu myśleć o mężczyznach. Ale on jest

taki przystojny... Wzruszyła ramionami, otworzyła szufladę z kartami pacjentek i zabrała się do lektury.

Godzinę później zapukała do jego drzwi. Miała pełną świadomość, że w tej pracy nie ma miejsca na osobiste pretensje. W szpitalu, gdzie jest wielu lekarzy, można kogoś unikać bez szkody dla pacjentów, ale z tym człowiekiem należy od samego początku postawić sprawy jasno. Żeby wiedział, czego ona może się podjąć, a czego nie. Nim weszła do jego pokoju, postanowiła, że będzie opanowana, konkretna i uważna. Jednak gdy otworzyła drzwi i ujrzała jego uśmiech oraz te niesamowite włosy... poczuła, że na nic się zdały te obietnice.

- Mieliliśmy już okazję razem pracować - powiedział, podając jej dłoń. - I szło nam to bardzo dobrze, ale teraz witam cię w naszej przychodni. Oficjalnie. Czasami będziemy zmuszeni do bardziej sformalizowanych stosunków. Myślę, że wystarczy wtedy „siostra” oraz „doktor”, ale na co dzień... mam na imię Tom.

- A ja Maria - wyjąkała. Gestem zaprosił ją, by usiadła.

- Mam nadzieję, że będzie ci u nas dobrze. Bardzo się cieszę, że tu jesteś, bo rozpaczliwie potrzebujemy położnej. James już cię polubił. Obawiałem się tych początków w przedszkolu, ale dzięki tobie jest mu zdecydowanie różniej.

- To bardzo sympatyczne dziecko - zaczęła ostrożnie. - Ale nie wiem, czy często będziemy się widywać. Dyplom otrzymałam niedawno, ciągle się uczę. Chcę się skoncentrować na położnictwie, nie na pediatrii.

Nie zabrzmiało to najlepiej, ale może go to do niej nie zrazi. Marzyła, by z nim pracować. Musiała jednak dać mu dobitnie do zrozumienia, że nie zostanie najbliższą przyjaciółką jego syna.

- To oczywiste - odparł po chwili wahania. - Szanuję ludzi, którzy wiedzą, co do nich należy. A zatem: trzy razy w

tygodniu będziemy pracować razem w przychodni. Przez resztę czasu też tu będę, ale ty będziesz zdana sama na siebie. Do twoich obowiązków należy prowadzenie szkoły rodzenia, kursu dla matek z noworodkami, wizyty domowe oraz wszystkie rutynowe badania. Pamiętaj jednak, że stanowimy zespół. Jeśli będziesz miała jakiegokolwiek wątpliwości, możesz mnie pytać w każdej chwili. Podobnie ja ciebie. Odpowiada ci taki układ?

- Zdecydowanie.

- Przez kilka najbliższych dni będziesz się zapoznawać z funkcjonowaniem przychodni. Niestety, nie zdążyłem napisać wymaganego urzędowego programu wprowadzającego, ale obiecuję, że to zrobię. Może, jak przychodnia ruszy pełną parą, usiądziemy nad nim razem?

- To dobry pomysł.

- Ale dopóki go nie mamy, ze wszystkimi problemami zwracaj się do mnie.

Rozmowa skończona. Nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia, lecz ona nie miała ochoty wyjść. Odnosiła wrażenie, że i on nie chce, aby wyszła. Trudno było to sprecyzować, ale po prostu dobrze się czuli w swoim towarzystwie.

Podnosząc się w końcu z fotela, Maria odezwała się tonem chyba nadto smutnym:

- Muszę już iść. Za pół godziny przychodzą moje pierwsze mamy.

- Nie zapominaj, że tutaj jestem.

Wróciła do swojego pokoju, przejrzała kartę pierwszej pacjentki, po czym przygotowała wszystkie potrzebne instrumenty. Gdy stwierdziła, że zostało jej jeszcze dziesięć minut, poświęciła je swojemu nowemu szefowi.

Żeby mężczyzna miał takie włosy? Jaka to wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość! Na dodatek dłuższe niż

jej. A do tego te wielkie ciemnoniebieskie oczy. On wcale nie ma kobiecych rysów. Ma bardzo męską twarz. I dużo zmarszczek jak na swój wiek. Tak wygląda twarz mężczyzny, który podejmuje decyzje bez względu na konsekwencje.

Zaobserwowała też, że po tym, jak powitał ją po raz pierwszy, przestał się uśmiechać. Był miły, ale zachowywał dystans. Mały James powiedział, że jego mama umarła. Jak i kiedy? Przecież ich o to nie zapyta.

Po jego sprężystych ruchach zorientowała się, że jest wysportowany. Bardzo atrakcyjny. Z takim mężczyzną chętnie zawarłaby bliższą znajomość. Ale nie może. Czują, że sobie nie poradzi z czteroletnim chłopcem, zwłaszcza tak słodkim jak mały James. Rano jej się to udało, ale powinna unikać takich sytuacji.

Przerwała te rozmyślenia i raz jeszcze zerknęła do karty pacjentki. Bardzo by się zdziwiła, gdyby dowiedziała się, że w tym samym czasie jest tematem rozmyślań pewnego położnika.

Tom poszukiwał osoby dojrzałej, z wieloletnim doświadczeniem, najlepiej matki kilkorga dzieci. Ostatecznie Jenny przekonała go, że Maria jest tak samo dobra jak położna z długim stażem. Opowiedziała mu także jej historię, co sprawiło, że od razu ją polubił.

Podświadomie spodziewał się opiekuńczej kobiety w średnim wieku, a w jego zespole zjawiała się wysoka, szczupła piękność z dużymi szarymi oczami i pięknie wykrojonymi wargami. Szkoda tylko, że ma takie krótkie włosy. Mimo to jest oszałamiająco piękna. Pokręcił głową. Nie, nie, twoje życie jest już wystarczająco skomplikowane.

Była całkiem zadowolona ze swojego pierwszego poranka w nowej pracy. Początek nie był najłatwiejszy, bo nie wiedziała, gdzie się co znajduje, i wszędzie natykała się na nieznajome twarze. Za to sama praca nie była dla niej

nowością. Na dodatek miała okazję spokojnie porozmawiać z pacjentkami. Nie czuła się tutaj jak w wielkim młynie, jakim czasami stawał się szpital. Ta praca miała bardziej osobisty charakter i to jej się podobało.

Skończyła koło dwunastej, zdążyła sobie przygotować całą listę pytań. Nic szczególnie ważnego, chodziło jej głównie o drobiazgi dotyczące procedur. Po raz kolejny znalazła się w pokoju Toma.

- Jak ci poszło? - zapytał. Na jej widok wyraźnie się ucieszył. Odłożył na bok papiery.

- Dziękuję, spokojnie. Przede wszystkim chciałabym, żebyś przy następnej okazji zbadał kilka pacjentek. To nic poważnego...

Sprawy zawodowe zajęły im dziesięć minut. Gdy omówili wszystko, znowu poczuła, że nie ma ochoty wychodzić. Ale...

- W porządku - powiedziała raczej niechętnym tonem. - Nie będę ci przeszkadzać...

- Nie spiesz się, chyba że musisz. Porozmawiajmy chwilę.

- Bardzo chętnie. O czym? Wahał się.

- Będę szczery. Jenny powiedziała mi, że miałaś synka oraz że on umarł. Mówię to, bo chcę, żebyś miała świadomość, że o tym wiem. I współczuję ci bardziej, niż sobie wyobrażasz.

Milczała. Była mu wdzięczna za szczerość, podobała jej się taka otwartość.

- No cóż... dziękuję. Chciałabym, żebyś pamiętał, że mali chłopcy budzą we mnie bolesne wspomnienia.

- Rozumiem. - Zawiesił głos, a ona nie spuszczała wzroku z jego oczu. Wyczytała w nich współczucie oraz smutek, dowód, że cierpienie nie jest mu obce. Popatrzył na nią kątem oka. - Człowiekowi wydaje się, że to minie, że z czasem ten ból przejdzie... Może kiedyś.

Uśmiechnął się. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przysł smutek, który na chwilę ich połączył. Życie ma do zaoferowania inne, lepsze emocje.

- Zmieńmy temat - zaproponował. - Dlaczego zostałam położną?

- To proste. Mój synek leżał w szpitalu w Hiszpanii. Poznałam tam wiele pielęgniarek. Były oddane pacjentom i kochały to, co robią. Więc kiedy... kiedy on umarł, poczułam, że chcę się zająć czymś podobnym. Nie po to, żeby spłacić jakiś dług, ale po to, by czerpać z pracy tyle radości.

- Ale dlaczego zostałam akurat położną?

- Zastanawiałam się, który dział medycyny najbardziej mi odpowiada. Wybrałam ten, w którym najczęściej jest szczęśliwe zakończenie. Cieszy mnie radość na twarzach kobiet, które po raz pierwszy oglądają swoje dziecko. Narodziny mojego synka były najszcześniejszym wydarzeniem w moim życiu.

- Znam to uczucie.

Zapadło nieskrępowane milczenie.

- Nie wszystkim tak się zwierzam - wyznała po chwili.

- Czasami to pomaga.

Zbierała myśli. Zastanawiała się, co jest najbardziej istotne.

- Urodziłam go, zanim skończyłam osiemnaście lat - zaczęła, a on tylko przytaknął. - Byłam młoda i głupia. Jego ojciec zniknął i dzisiaj nawet nie pamiętam jego twarzy. Urodziłam chłopca. Nie było łatwo, ale sobie poradziłam. Potem moje życie jakoś się ułożyło. Dostałam pracę jako opiekunka do dzieci w ośrodku turystycznym na Majorce. Miałam swój pokój w hotelu. Znalazłam tam przyjaciół, którzy mi pomagali, lubiłam swoją pracę, awansowałam. Przez trzy lata żyłam jak w raju. - Tom podał jej szklanekę z wodą. - To są suche fakty. Nie oczekuję litości ani pomocy.

- Zapamiętam.

- Mój synek zachorował na nerwiaka mózgu. Zanim lekarze się zorientowali, nerwiak zaatakował kręgosłup oraz szpik. Operacja nie wchodziła w rachubę, więc podawano mu tradycyjne leki. Mimo to wszyscy mieliśmy świadomość, że tylko cud może go uratować. Ale cud się nie wydarzył. Umierał przez sześć miesięcy.

- Był w wieku mojego Jamesa - szepnął Tom. - Wyobrażam sobie, przez co przeszłaś.

Może naprawdę on potrafi sobie to wyobrazić?

- I dlatego wolisz nie zajmować się dziećmi? - zapytał.

- Przychodzi mi to z wielkim trudem. Co innego niemowlęta, kocham je. Ale trzy - czy czterolatki... Patrzę na nie i myślę o nim. Nie wyobrażasz sobie, co wtedy czuję. - Uśmiechnęła się smutno. - I jeszcze jedno. On też miał na imię James.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy, ale ku niezadowoleniu Toma zaskoczyło ich brzęczenie telefonu. Sprawa była ważna, więc Maria dyskretnie wyszła z pokoju.

Wróciwszy do siebie, zastanawiała się, dlaczego to zrobiła. Tak niewiele osób wie o jej nieżyjącym synku. Mało komu o nim opowiadała. Dlaczego tak nagle zaufała Tomowi Ramseyowi? Człowiekowi, którego dopiero co poznała?

Podobał się jej, to prawda. Do tego potrafiła się przyznać. Nie tylko dlatego, że dawno nie spotkała tak zabójczo przystojnego mężczyzny. Łączyło ich coś, czego nie umiała zdefiniować. Przyciągała ich jakaś tajemnicza siła. Miała wrażenie, że nareszcie spotkała bratnią duszę. A bratnie dusze zwierzają się sobie nawzajem ze swoich sekretów.

Skarciła się w duchu za takie bujanie w obłokach.

Tego popołudnia pojechała do pacjentki, która zdecydowała się na poród w domu. Takie rozwiązanie stało się całkiem popularne, ale Maria miała do tego ambiwalentny

stosunek. Z jednej strony, szpital bywa miejscem wyjątkowo anonimowym, z drugiej zaś, każda położna czuje się lepiej ze świadomością, że w razie komplikacji specjalistyczna pomoc jest na wyciągnięcie ręki.

Zaparkowała przed niewielkim domkiem. Był środek zimy, więc ogródek oraz trawniki były szare, za to bardzo starannie wygrabione.

Jeszcze ze ścieżki zauważyła nieskazitelnie białe firanki, a po chwili lśniąca mosiężną gałkę przy drzwiach i skrzynkę na listy.

Wewnątrz nowe meble, na których nie dostrzegła ani pyłka kurzu. Również Sally Chester, w dziewiątym miesiącu ciąży, sprawiała wrażenie czystutkiej i zadbanej. Najpierw poczęstowała Marię herbatą. Podawała ją na tacy przykrytej białą haftowaną serwetką. Oprócz filiżanki ze spodeczkiem, łyżeczki oraz cukiernicy znalazł się tam talerzyk z herbatnikami, a do tego jeszcze mniejsze talerzyki.

Ciekawe, jak pani Chester zorganizuje tak nieuporządkowane wydarzenie jak poród, pomyślała Maria.

- To jest mój pierwszy dom z prawdziwego zdarzenia - wyznała pani Chester, jakby czytała w jej myślach. - Od dziecka marzyłam o tym, żeby mieć swój dom, a w nim całą rodzinę. Dlatego zdecydowałam się na poród w domu. Brian, mój mąż, na to przystał, ale inni próbują wybić mi to z głowy. Mam nadzieję, że pani nie przyszła tu z takim zamiarem.

- Najważniejsze, żeby zdawała sobie pani sprawę z ryzyka i utrudnień - powiedziała Maria. - Przejrzałam pani kartę i nie widzę żadnych przeszkód.

- Pokażę pani pokój dziecienny. Pomalowałam go na różowo w jasnoniebieskie pasy, bo jest nam wszystko jedno, co się urodzi.

- Bardzo ładnie. Ale wolałabym raczej zobaczyć pokój, w którym będzie pani rodzić.

- Do sypialni przylega łazienka. Mąż już wyniósł wszystkie zbędne meble do pokoju gościnnego, więc będzie pani miała mnóstwo miejsca. Poza tym mąż będzie robił nam herbatę albo kawę, co zechcemy.

- Jest pani bardzo zapobiegliwa - powiedziała Maria. - Przejdźmy do sypialni. Chcę panią zbadać.

- Może jeszcze ciasteczko?

Było to rutynowe badanie. Gawędząc z panią Chester, Maria starała się wyczuć, jak bardzo ciężarna jest zdecydowana rodzić w domu. Zmierzyła jej ciśnienie, tętno, temperaturę, zbadała dziecko, sprawdziła ułożenie główki. Wszystko było w normie.

Uśmiechając się w duchu, Maria pomyślała, że nic nie jest w stanie zaburzyć misternych planów pani Chester.

Na razie ta kobieta jest wzorową przyszłą matką. Być może przebieg jej porodu będzie bezproblemowy. Mimo to Maria nabrała podejrzania, że pod tą przykrywką doskonałej organizacji oraz spokojem kryje się jakiś problem. Pani Chester jest aż za dobrze zorganizowana.

Po tej wizycie nie wróciła do przychodni. Pojechała prosto do siebie. Zastanawiając się nad tym, jak upłynął jej dzień, doszła do wniosku, że taki system pracy bardzo jej odpowiada. Szpital jest z konieczności instytucją zamkniętą. Tutaj, jako położna rejonowa, ma więcej okazji do kontaktów z ludźmi, z prawdziwym życiem.

Jej myśli powędrowały w stronę doktora Ramseya. Chyba znajdą wspólny język. Dlaczego zdobyła się na zwierzenia? Nie żałowała tego. Ufała mu, ale dalej wołała o nim nie myśleć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cztery dni później miała już absolutną pewność, że nowa praca bardzo jej odpowiada, tym bardziej że nie była częścią zespołu położnych jak w szpitalu. Polubiła swoją niezależność. Tom najwyraźniej ufał, że gdy będzie miała problemy, zwróci się do niego o pomoc. Sama zatem podejmowała decyzje, przez co czuła się potrzebna oraz kompetentna. Co więcej, praca w przychodni była bardzo urozmaicona: każdy dzień przynosił coś nowego.

Polubiła też personel. Recepcjonistka Molly знаła wszystkich i wiedziała prawie wszystko. Pracowała w starej przychodni, zanim jeszcze wybudowano nową. Przedszkolanka June również okazała się sympatyczna. Wpadła do Marii z prośbą o przyspieszony kurs malowania twarzy. Maria wykręciła się nawałem pracy i obiecała, że zajrzy do niej później. Sam na sam z Jamesem jakoś sobie poradziła, ale sporo ją to kosztowało. Nie czuła się na siłach stawić czoło większej liczbie przedszkolaków.

Tom był dla niej bardzo miły. Co rano zaglądał do jej pokoju, by się z nią przywitać, w ciągu dnia też do niej zachodził. Ani razu nie nawiązał do tego, co mu o sobie opowiedziała, za co była mu wdzięczna.

Drugiego dnia przyniósł jej obrazek specjalnie dla niej namalowany przez Jamesa: kobieta i chłopiec, trzymając się za ręce, idą od samochodu do drzwi przychodni. Natychmiast przykleiła go taśmą na jednej z szafek.

- Jesteś gwiazdą - oświadczył Tom. - James stale o ciebie pyta. Ale jeśli sprawia ci to przykrość...

- Daj mi trochę czasu. Powoli oswajam się z nowym miejscem, ale ciągle mam w głowie lekki zamęt. Chciałabym się z nim zaprzyjaźnić... jeśli tylko dam radę.

- Nie spiesz się - odrzekł.

W piątek pagerem wezwała ją Sally Chester. Wszystkie pacjentki, które decydowały się na poród w domu, dostawały pager z zaleceniem, by nie wahały się z niego skorzystać. Maria natychmiast do niej zadzwoniła. Pani Chester opanowanym tonem oznajmiła, że rodzi. Skurcze co dziesięć minut. Zawiadomiła już męża, który zawczasu uprzedził pracodawcę, że wyjdzie z pracy wcześniej. Chyba nadchodzi czas, by Maria do niej przyjechała. - Już wsiadam do samochodu.

Szkoda, że nie wszystkie młode matki są tak poukładane!

Całe szczęście, że tego popołudnia nie miała innych pacjentek. W przeciwnym razie byłaby zmuszona poprosić w szpitalu o zastępstwo w przychodni. Z torbą w ręce zajrzała do Toma, by powiedzieć mu, dokąd jedzie.

- Zadzwonię jeszcze po drugą położną, żeby mi asystowała.

W przypadku porodu w domu zawsze wymagana jest obecność dwóch położnych.

- O ile się orientuję, nie powinno być problemów - zauważył Tom. - Wierzę w ciebie. - Ściągnął brwi.

- Czy zamiast wzywać drugą położną, zgodzisz się, żebym to ja z tobą tam pojechał? Nie będę się wtrącał. Obiecuję.

Zdziwiło ją to pytanie.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ale czy to znaczy, że wiesz o czymś, o czym ja też powinnam wiedzieć? Czy pani Chester jest w grupie ryzyka?

Energicznie potrząsnął głową.

- Ależ skąd. Po prostu od czasu do czasu mam ochotę popatrzeć na całkiem normalny poród. Zawiadomisz mnie mniej więcej pół godziny wcześniej?

- Oczywiście.

Prawdę mówiąc, ta jego prośba wcale jej się nie spodobała. To jest jej poród, on jest do tego zupełnie niepotrzebny. Chce ją sprawdzić? Do tej pory tego nie robił. No cóż, ma do tego prawo. Pod warunkiem że pacjentka wyrazi zgodę.

Drzwi otworzył mąż Sally. Maria zobaczyła go teraz po raz pierwszy. Był przepasany fartuchem, spod którego wyglądała biała koszula oraz krawat renomowanej uczelni.

- Pomagam żonie się rozluźnić. Trzymam ją za rękę i staram się dodać jej otuchy. Skurcze są co trzy minuty, a wody już odeszły - zameldował. - Rozumiem, że mam zostać w sypialni, ponieważ moja obecność będzie działała na nią kojąco.

Maria uśmiechnęła się dyskretnie. Pan Chester cytował słowo w słowo poradnik dla przyszłych ojców.

- Cieszy się pan, że zostanie pan ojcem? - zapytała.

Brian Chester się zawahał. Trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Jestem przerażony - wyznał.

- Zapewniam pana, że wszystko pójdzie jak z płatka - odrzekła z uśmiechem. - Już po wszystkim skorzystam z pana pomocy.

Weszła do sypialni, by zbadać panią Chester.

- Kontroluję ból - oznajmiła rodząca stanowczym tonem.

- Szkoła rodzenia przynosi mi teraz widoczne korzyści.

Kolejny cytat. Tym razem z poradnika dla przyszłych mam.

Gdyby wszystkie porody miały taki przebieg, pomyślała Maria, moja praca byłaby o niebo łatwiejsza. Mimo to nadal zachowywała czujność, ponieważ pani Chester wydała jej się przesadnie doskonała.

Kryzys nastąpił pół godziny później. Pani Chester wysłała małżonka na dół, by sprawdził, czy panuje tam porządek. Mąż

się opierał, twierdząc, że nie chce postawiać jej samej, ale ona się uparła:

- Zawołamy cię, jak będziesz nam potrzebny. W jej głosie Maria wyczuła nutkę strachu. Pani

Chester wyraźnie traciła kontrolę nad sytuacją. Ale mimo że skurcze występowały coraz częściej i stawały się coraz silniejsze, nadal nad nimi panowała. Maria pogładziła ją po policzku.

- Będzie dobrze. Już niedługo zobaczy pani swoje dziecko.

- Boję się! Zrobiłam wszystko, co należało, ale ciągle się boję. Będzie to samo co z matką!

Maria wiedziała, że rodzice pani Chester nie żyją. O co chodzi?

- Co było z pani matką? - zapytała ostrożnie.

- Ona była inna niż ja. Była hipiską. Przez całą ciążę paliła i piła. I mój braciszek umarł. Przez nią. Nienawidziłam jej za to. Czy mi się nic nie stanie? Czy moje dziecko będzie zdrowe? Trzymałam się wszystkich zaleceń.

Wcześniej Maria była pełna podziwu dla jej opanowania, ale dopiero teraz zrozumiała, co się za tym kryje. To była reakcja na lęk. Pod maską spokoju i porządku pani Chester ukrywała strach. Teraz pokazała bardziej ludzką twarz.

- Zrobiła pani wszystko, co należy - zapewniała ją Maria.

- I nie dzieje się nic niepokojącego. Proszę nie myśleć o matce, skoncentrować się na sobie, mężu i dziecku. Będzie dobrze.

Kobieta powoli się uspokajała. Mąż wrócił do sypialni i przykładowie trzymał ją za rękę, szepcząc słowa otuchy. Maria westchnęła z ulgą.

Wbrew obawom pacjentki poród przebiegał normalnie, aczkolwiek towarzyszyło mu ogromne emocjonalne napięcie.

Oto nowe życie przychodzi na świat. Biorąc udział w tym wydarzeniu, Maria czuła, jak rozpiera ją duma.

Gdy nadszedł czas, za zgodą pani Chester skontaktowała się z Tomem.

- Brian, przygotuj filiżankę dla pana doktora - wysapała pani Chester, zwracając się do męża.

Tom przyjechał, wypił obowiązkową herbatę i poczęstował się ciasteczkiem.

Potem pracowali w milczeniu, odgadując nawzajem swoje myśli. Od pierwszego razu tworzyli zgodny tandem. To odkrycie niepomiernie Marię zdziwiło. Co więcej, zdumiewało ją, ile radości Tom czerpie z tej pracy, z jakim szacunkiem odnosi się do rodzącej, jakie ma delikatne ręce.

Był to poród całkiem normalny, ale jak zawsze było to wydarzenie magiczne. Gdy dziecko znalazło się w dłoniach położnej, pani Chester po raz drugi puściły nerwy.

- Mam dziecko! Mam dziecko! - krzyczała. - Pokażcie mi moje dziecko!

- To dziewczynka - wyszeptał pan Chester przez ściśnięte gardło. - Mamy córeczkę.

Tom opatulił noworodka, po czym podał go ojcu, który zgodnie z instrukcją ułożył go na matczynej piersi.

Zerknąwszy na Toma, Maria dostrzegła na jego twarzy mieszane uczucia: radość a zarazem smutek, ale nie była to odpowiednia pora na zadawanie pytań.

Wkrótce urodziło się łożysko i zapanował spokój.

Tom odjechał, a Brian został wysłany po kolejne herbaty oraz do ogrodu z poleceniem zakopania łożyska tam, gdzie za jakiś czas państwo Chester zamierzali posadzić róże. Sally Chester przytulała córeczkę, spoglądając na nią z dumą i bezgraniczną miłością. Maria tymczasem uporządkowała sypialnię, po czym na odchodnym zapewniła szczęśliwych rodziców, że odwiedzi ich następnego dnia.

- Wiem, czego mogę się spodziewać, więc jestem spokojny - oświadczył pan Chester sztywno, lecz niespodziewanie się rozpromienił. - Jaka ona słodka, prawda?

- Prześliczna - przytaknęła Maria. Odjeżdżając, uśmiechnęła się na myśl, że to ostatnie chwile, gdy w domu przy Lashmere Close panuje taki ład oraz spokój.

Było jeszcze całkiem wcześnie, więc postanowiła pojechać do przychodni, by tam napisać sprawozdanie z porodu. W oknie Toma paliło się światło, więc tam skierowała pierwsze kroki. Siedział przed komputerem, a blask biurowej lampy połyskiwał na jego włosach.

Uśmiechnął się na jej widok.

- To ty! Siadaj. Na pewno jesteś skonana.

- Trochę - przyznała. - Każdy poród wywołuje u mnie przyływ adrenaliny, ale jej poziom już powoli opada. Co tu robisz o tej porze?

- Wypełniam swoje biurokratyczne obowiązki. Mama zgodziła się posiedzieć z Jamesem. To był bardzo udany poród.

- Doskonały. Ale nadal mnie intryguje, dlaczego chciałeś być przy nim.

Nie od razu jej odpowiedział.

- Jako lekarz - zaczął po chwili - jestem o dziwnych porach wzywany, kiedy dzieje się coś niedobrego. Warto czasami sobie przypomnieć, że narodziny są wydarzeniem udanym i radosnym.

- Odniosłam wrażenie, że byłeś bardzo przejęty. - W jego nastawieniu wyczuła rezerwę, więc takie wyjaśnienie nie do końca wydało jej się przekonujące.

- Jestem położnikiem. To chyba naturalne, że w takich okolicznościach jestem zaangażowany.

Mimo że ta odpowiedź brzmiała sensownie, nadal Marii nie satysfakcjonowała. Dlaczego on tak na nią patrzy?

Tęsknie? Znają się zaledwie od tygodnia, ale tego popołudnia poród pani Chester bardzo ich zbliżył. Maria zapragnęła lepiej poznać tego tajemniczego lekarza. Spotkać się z nim poza przychodnią.

- Jutro w szpitalnym klubie odbędzie się uroczystość dobroczynna. Przyjdiesz? - zapytała.

Przyglądał się jej uważnie.

- Nie miałem tego w planach. Unikam takich imprez. A ty się wybierasz? Lubisz się bawić?

- Rzadko bywam, ale będzie cały oddział. Sami znajomi. Spotykamy się, żeby uczcić powrót Jenny do grona chodzących. Wiesz, że miała wypadek?

- Oczywiście. Zazdroszczę Mike'owi takiego skarbu jak Jenny. Dużo im się od życia należy.

- Pójdę tam. Ty też przyjdź, choćby na krótko. Biurowa lampa rzucała światło na biurko, więc twarz Toma pozostawała w mroku.

- Zależy ci na mojej obecności? - zapytał. - Mój widok sprawi ci przyjemność?

Wyczuła, że nie jest to wyłącznie grzecznościowe pytanie.

- Tak - usłyszała swój lekko drżący głos. - Tak, przychodząc, sprawisz mi przyjemność.

- Wobec tego przyjdę. Na krótko. W weekendy staram się jak najwięcej czasu spędzać z Jamesem, ale przyjadę, jak zaśnie.

- Zapewniam cię, że ci się spodoba.

- Patrzcie, kto przyszedł! - zawołała Jenny Dono - van. - Już myślałam, że nigdy nie zobaczę go na imprezie.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę wejścia. Na widok Toma Maria wręcz oniemiała. Wyglądał bardzo sztywnie w ciemnym garniturze i rozpiętej pod szyją koszuli w miodowym odcieniu. A do tego te złociste włosy! Nie tylko

ona i jej koleżanki go zauważyły. Wszyscy patrzyli w jego stronę.

- Mario, ty z nim pracujesz. Czy to ty go namówiłaś? - zapytała Jenny.

- Powiedziałam mu tylko, że jest przyjęcie. - Wolą, by nikt się nie dowiedział, że nie było to takie proste. - On nie udziela się towarzysko?

- Zdarza mu się to bardzo rzadko - wyjaśniła Jenny. - Cały wolny czas spędza z synkiem.

- Zaproszę go do nas - powiedziała Maria. - Sprawia wrażenie skrepowanego. Chyba czuje się trochę zagubiony.

Zaczerwieniła się pod bystrym spojrzeniem koleżanki.

- Wcale nie wygląda na zagubionego - orzekła Jenny. - Ale idź, przyprowadź go tu.

Jenny się nie myliła. Po chwili wahania Tom stanowczym krokiem skierował się do baru.

Maria przeżyła moment rozterki. Nie chciała mu się narzucać. Wytłumaczyła sobie jednak, że razem pracują oraz że on dużo zrobił, by ona nie czuła się osamotniona. Prawdę mówiąc, bardzo łatwo zaaklimatyzowała się w przychodni.

Miała przy tym świadomość, że coś ich pcha ku sobie. Jeszcze tego nie zdefiniowała, ale oboje zachowywali się bardzo ostrożnie. Musi z nim porozmawiać. Ruszyła czym prędzej, by się nie rozmyślić.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś - powitała go. - To spotkanie ma szlachetny cel. Dołączysz do nas?

Nie widział jej, więc dopiero na dźwięk jej głosu odwrócił głowę. Uśmiechnął się do niej zupełnie inaczej niż do tej pory, z błyskiem zaciekawienia w oczach.

Miała na sobie suknię w kolorze burgunda, z odkrytymi plecami. Może trochę nadto wydekoltowaną, ale przecież nie można całe życie chodzić w stroju położnej. Nerwowym

ruchem poprawiła ramiączko. No tak, teraz już wszystko wiadomo, pomyślała.

- Z przyjemnością się do was dosiędę - oznajmił. - I tak miałem zamiar przywitać się z Jenny. I podziękować jej, że znalazła dla mojej przychodni taki skarb jak ty.

Po raz kolejny tego wieczoru spiekła raka. Tom pocałował Jenny w policzek i uściśnął dłoń Mike'owi, jej mężowi.

- Sprawileś mi ogromną radość, przychodząc na tę imprezę - powiedziała Jenny. - Tak rzadko wychodzisz z domu.

- Takie polecenie wydała mi moja nowa położna. Kazała mi tu przyjść, więc jestem. Jenny, bardzo się cieszę, że już możesz chodzić.

- Mając takich przyjaciół oraz takiego męża - uśmiechnęła się Jenny - można pokonać wszystkie trudności. Kiedy nas odwiedzisz?

Zahuczał werbel, zapraszając zebranych na parkiet. Gdy łoskot ucichł, rozległ się głos didżeja:

- Proszę młodych o wyrozumiałość, bo na początek będzie coś dla starszaków: walc. To dla was, Jenny i Mike!

Obserwowała, jak Mike podaje ramię Jenny, która rusza przed siebie jeszcze nie całkiem pewnym krokiem. Zabrzmiała muzyka, a oni zaczęli tańczyć.

- Przyjemnie na to patrzeć - odezwał się Tom. Maria przytaknęła.

- Bardzo. Ze wzruszenia mogłabym się popłakać, ale ja nie płacę.

Gdy Jenny i Mike zrobili dwa okrążenia, dołączyły do nich inne pary.

- Zatańczymy? - zapytał Tom nieśmiało. - Ostatni raz tańczyłem cztery lata temu. Jeśli chcesz, to spróbuję.

- Ja też nieco wyszłam z wprawy, ale chcę z tobą zatańczyć.

Ruszyli na parkiet. Tom trzymał rękę na jej nagich plecach, ich uda się dotykały przy każdym kroku. Maria już zdążyła zapomnieć, jak intymny bywa taniec. Dziękowała Bogu, że Tom milczy, ponieważ potrzebowała czasu, by rozeznąć się w skrajnych emocjach, które nią targały.

Sprawia jej to zbyt wielką przyjemność. To, że Tom ją obejmuje, że ma takie silne palce i ramiona, że jest tak blisko, że czuje jego oddech na policzku. To zdecydowanie za dużo! Ale chyba można pomarzyć choć przez chwilę?!

Zorientowała się, że sporo par im się przygląda. Przyciągają uwagę. Pewnie dlatego, że jej suknia tak ładnie kontrastuje z jego włosami.

- Powinieneś znacznie częściej udzielać się towarzysko - powiedziała aluzyjnym tonem. - Budzisz sensację. Wszystkie kobiety zazdroszczą ci takich włosów.

- Jeśli ktoś się na nas gapi - odrzekł po namyśle - to po to, żeby podziwiać ciebie. Zauważ, że mam dłuższe włosy niż ty. I to przyciąga uwagę.

- Kiedyś nosiłam długie, ale takie krótkie są bardzo praktyczne. - Nie chciała wyjaśniać, dlaczego je obcięła.

Walc się skończył i wśród oklasków Jenny i Mike zeszli z parkietu. Gdy didżej zapowiedział szybszy kawałek, Tom popatrzył na Marię, ale ona pokręciła głową. To nie dla niej. Wrócili do grona swych przyjaciół.

Omawiano różne tematy, zmieniano rozmówców, aż Tom zniknął jej z oczu. Ma prawo porozmawiać ze znajomymi. W końcu wrócił do niej, ujął ją za rękę i odciągnął na bok. Lubiała, kiedy jej dotykał.

- Chciałbym zostać z tobą - powiedział, zniżając głos - ale muszę jechać. Dostałem telefon, że James skarży się na ból głowy. Bardzo mi przykro, ale jestem zmuszony cię opuścić.

- Szkoda... - Czy taka szczerłość z jej strony nie jest aby przesadna? - Do zobaczenia w poniedziałek. W pracy.

- Ta nadzieja pomoże mi przetrwać weekend. - Chwilę później wyszedł z klubu.

Co on chciał przez to powiedzieć?

Gdy rozważała jego słowa, podeszła do niej Jenny.

- Moja noga jest już zmęczona - oświadczyła. - Usiądźmy gdzieś i pogadajmy. Tylko ty i ja.

Poprowadziła Marię do stolika w rogu sali.

- Powiedz mi, jak ci się pracuje z Tomem? - zapytała.

- Świetnie. Jest bardzo opanowany. Zachowuje rezerwę, ale mnie to odpowiada. Dobrze go znasz?

- Bo ja wiem? Tak jak powiedziałaś, on trzyma się na dystans. Wiem tyle, że urodził się tutaj, a studiował i pracował w Londynie. Jego małżeństwo było bardzo udane. Czekali na pierwsze dziecko. Potem jego żona zmarła.

- Ale synek przeżył. Jenny przytaknęła.

- Jeden Bóg wie, jak on sobie radził. Tutaj jest od roku. Jego matka mieszka niedaleko. Bardzo mu pomaga, a on cały wolny czas poświęca małemu. Mike bardzo go ceni jako lekarza, ale twierdzi, że jest odludkiem. - Z zaciekawieniem spojrzała na Marię. - To prowadzi nas do następnego pytania. Jak udało ci się go namówić, żeby tutaj przyszedł?

- Ja mu to tylko zasugerowałam - broniła się Maria. - Nawet nie przyszliśmy razem, a wyszedł beze mnie.

- Mam wrażenie, że nie był tym uszczęśliwiony. Widziałam, jak na ciebie patrzył. Wcześniej mnie o ciebie wypytywał. Moim zdaniem, jak na przełożonego był nadto zainteresowany twoją osobą, ale dobrze to ukrywał. On ci się podoba?

- Nie wykluczam. Tak, bardzo mi się podoba. Ale się boję. Poza tym ma dziecko. Ile razy spojrzę na Jamesa, ogarnia mnie emocjonalny chaos. Mój James i jego James są tacy podobni, a jednocześnie tacy różni...

- Przez te cztery lata odgrodziłaś się wysokim murem... Czy Tom Ramsey sprawia, że ten mur zaczyna się kruszyć?

- To możliwe...

Bardzo lubiła dni, które w przychodni były przeznaczone dla przyszłych matek. Prowadziła z nimi zajęcia relaksacyjne, a potem kolejno je badała. Przez ten czas reszta ciężarnych plotkowała przy herbacie. W ten sposób zawiązywały się nowe przyjaźnie. Te kobiety mieszkały po sąsiedzku, często się widywały. W ten sposób powstawały nieformalne grupy wsparcia. Większość ciąż przebiegała bez komplikacji, a kobiety, które miały jakieś problemy, miały okazję lepiej się poczuć, rozmawiając o nich.

Gdy wypełniała kartę ostatniej pacjentki, zadzwoniła do niej recepcjonistka.

- Mam tu jeszcze jedną przyszłą mamę, która nie była zapisana, ale chce się z tobą zobaczyć. Przyjmiesz ją?

Rzeczowy ton recepcjonistki kazał jej się domyślać, że kobieta słyszy ich rozmowę. Oraz że Molly uważa, że tę pacjentkę należy przyjąć.

- Na razie niech idzie do innych ciężarnych, a ja za chwilę się nią zajmę.

- Ta pani nazywa się Tracy McGee - dodała Molly, po czym odłożyła słuchawkę.

Gdy pacjentka opuściła gabinet, Maria sięgnęła po kartę Tracy McGee. Dowiedziała się z niej, że dziewczyna nie zgłosiła się na trzy poprzednie wizyty. Na marginesie ktoś dopisał ołówkiem: „Partner do niczego. Narkotyki?”. Maria westchnęła. Taki dopisek nie był dla niej niczym nowym. O pewnych sprawach należy wiedzieć, ale nie muszą one na wieki pozostawać w karcie. Takie uwagi można było w każdej chwili wytrzeć gumką.

Zajrzała do sali, gdzie ciężarne spędzały czas na towarzyskiej pogawędce, ale nie dostrzegła nowej twarzy, wyjrzała wobec tego na korytarz.

Tracy była bardzo młoda. Miała amarantowe włosy oraz kolczyki w nosie i dolnej wardze. Ubrana była w wojskową kurtkę z demobilu. Wyglądała na niezadowoloną.

- Dzień dobry, jestem położną. Dlaczego nie poszłaś na herbatę?

- Nie będę się z nimi zadawać. One wszystkie patrzą na mnie z góry.

- One są w ciąży tak samo jak ty. Ale mogę coś ci przynieść do gabinetu.

- Dziękuję.

Przyniósłszy zgodnie z zamówieniem czarną kawę z czterema łyżeczkami cukru, Maria zbadała swoją do tej pory najtrudniejszą pacjentkę. Badanie nie wypadło pomyślnie. Dziewczyna była zdecydowanie niedożywiona. Okazało się, że jada głównie frytki i pikantne dania z curry.

- Pijesz dużo mleka? Wapń jest potrzebny do budowy kośćca dziecka oraz po to, żebyś zachowała zdrowe zęby.

- Nienawidzę mleka!

Tętno mieściło się w normie, ale ciśnienie krwi okazało się nieco za wysokie. Płód był mały, a jego tętno nie za silne.

- Gdzie mieszkasz?

- Z moim chłopem. W bloku. Może to nie najlepiej, ale mam tylko jego.

- Rodzice są niedaleko?

- Mama nie żyje, a kiedy ostatni raz słyszałam o ojcu, to siedział.

To pytanie także trzeba zadać.

- Co bierzesz?

Tracy wzruszyła ramionami.

- To co wszyscy. Zależy, co on mi przyniesie. Czasami kokę, ale najczęściej trawkę. Muszę coś brać, żeby przeżyć, nie?

- Mówiąc „trawka”, masz na myśli konopie? Dziewczyna lekko się uśmiechnęła.

- Tak, konopie - prychnęła lekceważąco. - Ostatni raz słyszałam tę nazwę podczas pogadanki w podstawówce.

- Wiesz, że narkotyki mogą uszkodzić płód, prawda? Nie twierdzę, że tak będzie, ale takie ryzyko istnieje. Skieruję cię do odpowiedniej poradni. Tam się tobą zajmą, włączą do programu...

- Nie pójdę do żadnej zasmarkanej poradni! Maria westchnęła. Wiedziała, że do niczego nie może Tracy zmusić. Nie pozostawało jej nic innego, jak ją przekonywać.

- Nie podoba mi się twój stan ani stan twojego dziecka. Jesteś niedożywiona, a dziecko słabe. Powinnaś kilka dni pobyć w szpitalu. Oboje wymagacie opieki...

- Nie pójdę do szpitala. I urodzę w domu. Za nic w świecie nie pójdę do szpitala.

Maria wyczuła, że nie przełamie jej oporu.

- Czy to mieszkanie, w którym mieszkasz z tym... chłopem, jest odpowiednim miejscem na domowy poród?

- Na nic lepszego nie mam szans. On się mną opiekuje. Mam tylko jego.

- Tracy, jak mogę ci pomóc?

Po raz pierwszy od początku wizyty dziewczyna spuściła z tonu.

- Chciałabym się dowiedzieć, co mam robić - szepnęła. - Boję się...

W tej sytuacji Maria wygłosiła wykład na temat zdrowego stylu życia, właściwej diety oraz tego, co należy robić, by urodzić zdrowe dziecko. Tracy słuchała. Mimo to Maria miała wrażenie, że niewiele z tego do niej dociera.

Westchnęła głęboko, gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi. Czuła, że zrobiła wszystko, co do niej należało, ale podejrzewała, że Tracy zlekceważy jej rady.

Nie miała potrzeby konsultować się z Tomem, ale mimo to zajrzała do niego.

- Poświęcisz mi kilka minut? - zapytała. - Nie obrażę się, jeśli teraz nie masz czasu.

- Dla mojej ulubionej oraz jedynej położnej zawsze mam czas - odrzekł. - Wyczuwam, że chodzi o coś ważnego. Napijesz się dobrej kawy?

- Przydałoby się.

Podał jej kubek, po czym usiadł za biurkiem.

- Najpierw sprawy zawodowe, a potem pogadamy - powiedział. - Domyślam się, że chodzi o pewną młodą kobietę z mnóstwem żelastwa na twarzy. Widziałem ją, jak rozmawiała z Molly.

- Tak. Ma osiemnaście lat i jest mniej więcej w ósmym miesiącu. Udaje, że jest twarda, ale się boi, a mnie jest jej żal.

- Opowiedz mi o niej więcej.

Na koniec relacji zadała nurtujące ją pytanie.

- Co ja mam robić?

Westchnął, po czym wbił wzrok w sufit,

- Najtrudniejsze w pracy położnej i lekarza jest bezczynne przyglądanie się, jak marnują się ich dobre rady, nierzadko ratujące życie. Czasami odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z ludźmi tak durnymi, że sami pragną się uśmiercić. Odpowiadając na twoje pytanie, mogę jedynie stwierdzić, że tak, ta Tracy wystawia na ryzyko swoje życie oraz życie dziecka. Ale wobec prawa jest osobą dorosłą. Wolno jej podejmować samodzielne decyzje. Możesz poinformować wydział do spraw rodziny, to chyba niezły pomysł, ale jeśli ona sama nie zechce spotkać się z pracownikiem społecznym, nikt jej do tego nie zmusi. Można jedynie posłużyć się

perswazją. Wiem, że cię to boli, ale... nie możesz zrobić nic więcej.

- A dziecko? Jaką ono ma szansę?

- Znasz odpowiedź. Jak tylko się urodzi, możemy rozpocząć akcję... ale tylko wtedy, gdy okaże się to konieczne.

- Tak, wiem - westchnęła. - Chyba potrzebowałam, żeby ktoś mi to wszystko przypomniał. Nie mówmy już o tym. Jak ci się podobało sobotnie przyjęcie? Żałowałam, że wyszedłeś.

- Ja też żałowałem - odparł z namysłem. - Z przyjemnością zostałbym dłużej. - Uśmiechnął się szeroko. - Miałem okazję zobaczyć nową Marię Wyatt.

Puściła to mimo uszu.

- Powinieneś częściej wychodzić z domu - powiedziała. Natychmiast jednak przyszło jej do głowy, że nie ma prawa nikomu dawać takich rad, bo jak często sama wychodzi do ludzi?

Przyglądał się jej z lekkim uśmiechem na wargach.

- Chyba masz rację. Co robisz w nadchodzącą sobotę? Masz chęć spędzić ją ze mną?

Tego się nie spodziewała. Chciała się z nim spotkać, lepiej go poznać, ale...

- Tylko z tobą?

- Tylko ze mną. James spędza weekend u babci. Będę wolny jak ptak.

Wolny jak ptak, ciekawe, powtórzyła w myślach. Chyba jeszcze nie spotkała mężczyzny, do którego to określenie tak bardzo by nie pasowało.

- Co będziemy robić?

- To niespodzianka. Ma związek z pracą, ale podejrzewam, że ci się spodoba. Zaufaj mi.

- Dlaczego mam ci ufać? - zapytała z uśmiechem.

- Mario, ty za dużo myślisz. Już kilka razy cię na tym przyłapałem. Jesteś przesadnie ostrożna. Nie masz ochoty spędzić ze mną weekendu?

Oczywiście, że mam, pomyślała. Ale to nie takie proste. James. No, ale to tylko jeden dzień.

- Zgoda - powiedziała z wahaniem. - Skoro to jest sprawa służbowa... A teraz muszę wracać do swoich zajęć.

Prawdę mówiąc, nie miała nic pilnego, po prostu potrzebowała kilku minut do namysłu. Zaszyła się w swoim gabinecie, usiadła przy biurku i zamknęła oczy, by się zrelaksować. Czy przed chwilą popełniła wielki błąd?

Tak, bardzo chce się z nim spotkać. Nie tylko dlatego, że jest taki przystojny. Oprócz tego jest niesłychanie dobry, troskliwy i...: Co tu ukrywać, ile razy go widzi, wstrząsa nią niepokojący dreszcz, włosy się jeżą, płoną policzki. Ten człowiek ją podnieca. Do tej pory żaden inny tak na nią nie działał. Poza tym chyba... ją lubi?

Ale jest jeszcze James i tu tkwi problem. Zawstydziała się. Jak taki sympatyczny czterolatek, który stracił matkę, może być problemem? Jeśli jest jakiś problem, to po jej stronie. Musi się zmusić, by jego obecność jej nie drażniła. Może Tom jej w tym pomoże?

ROZDZIAŁ TRZECI

Na tę okazję ubrała się w ciemnobursztynowy kostium oraz płaszcz, ponieważ był środek zimy. Wcześniej zapytała Toma, co powinna włożyć, na co on nieco zdziwiony odparł, że najpierw zaplanował spacer na wrzosowiska, a potem lunch.

- Przyjadę po ciebie - powiedział. Teraz ona się zdziwiła.

- Tom, czy zdajesz sobie sprawę, z jaką to się spotka reakcją? - zapytała. - Ty i ja odjeżdżamy jednym samochodem. Nie do pracy. Zaczną się domysły, plotki.

- Jeśli tobie to nie będzie przeszkadzać, ja też sobie poradzę.

Przystąpiła zatem na jego propozycję. Miała wrażenie, że wyrusza drogą, która nie wiadomo dokąd ją zaprowadzi. Bała się, ale nie zamierzała z niej zbaczać.

Gdy po nią przyjechał, zauważyła, że ma na sobie modną sportową marynarkę oraz krawat. Ciemne odcienie jego ubrania ładnie kontrastowały z jasnymi włosami. W chwili, gdy otwierał jej drzwi auta, na ścieżce pojawiły się dwie pielęgniarke. Pozdrowiły ich uśmiechem. Teraz się zaczniesz. Wszyscy się dowiedzą.

Wyjechali za miasto. Gdy dotarli na wrzosowiska, pierwszy odezwał się Tom.

- Pracuję z tobą, ale chciałbym też poznać tę prawdziwą Marię.

- Prawdziwa to ta, która z tobą pracuje. To ja. Położnictwo to moja pasja.

- Ciekawe...

- Prawdę mówiąc, ja też chciałabym lepiej poznać doktora Ramseya. Podobno jest samotnikiem. Domyślałam się, że lekarzowi trudno jest być samotnikiem.

- Niełatwo - przyznał. - Ale mnie się to udaje.

- Wyczuła, że uznał temat za wyczerpany.

- Opowiedziałam ci o moim synku - zaczęła jakiś czas później. - Nie było mi łatwo o tym mówić. Więc chcę też usłyszeć coś o tobie. W ramach rewanżu.

- Jak on to przyjmie? - Opowiedz mi o swojej żonie.

Długo zwlekał. Prowadził, więc musiał patrzeć przed siebie, ale nawet na nią nie zerknął. A mógłby. Oglądała tylko jego posepny profil.

- Zmarła godzinę po urodzeniu Jamesa. Zator wodami płodowymi. Nie było dla niej ratunku.

- Czytałam o embolii - rzekła przez ściśnięte gardło. - Podobno występuje bardzo rzadko i jest niebezpieczna.

- Jedno i drugie. - Więcej się nie odezwał.

Dwoje ludzi, pomyślała. Lubią się, ale oboje odmawiają zwierzeń. Powiodła wzrokiem po wrzosowiskach.

- Dokąd jedziemy?

Wahał się, jakby porządkował myśli.

- Przychodnia dysponuje sporymi funduszami - zaczął, ważąc słowa - ale musimy je wydać jak najprędzej. Są przeznaczone na zabawki i gry dla małych dzieci. Nie dla twoich noworodków. Dla maluchów w wieku od trzech do ośmiu lat. Powinna tym się zająć June Roberts, nasza przedszkolanka, ale dzisiaj ma jakiś ślub w rodzinie. Wskazała na ciebie. Ja słabo znam się na zabawkach, za to mam wrażenie, że ty znasz się na dzieciach.

- Już ci to mówiłam i wiesz, dlaczego. Kocham niemowlęta. Ale wszystko, co dotyczy przedszkolaków... przypomina mi... sprawia mi przykrość.

Nie bardzo się tym przejął.

- Zaraz tam dotrzemy - odezwał się po chwili. - Rozejrzysz się. Jeśli uznasz, że nie chcesz dalej wchodzić, zostawię cię w poczekalni i sam się tym zajmę. Na pewno znajdę jakiegoś doradcę.

Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. Dlaczego tak łatwo się wycofał?

Na jednym ze wzgórz ukazało się jej oczom miasteczko. Zatrzymali się na jego obrzeżach, przed budynkiem, który kiedyś był młynem, a teraz na jego fasadzie wymalowano dużymi literami nową nazwę: „Warsztaty św. Fillana”.

- Po co jechaliśmy aż tutaj, skoro w mieście jest mnóstwo sklepów z zabawkami?

- Odpowiadam za to, jak zostaną wydane te pieniądze, więc decyzja w tej kwestii należy do mnie.

Wjechał na podwórko, zaparkował w miejscu przeznaczonym dla gości. Gdy otworzył jej drzwi, niechętnie wysiadła z auta. W tym momencie podszedł do nich niski, krępy mężczyzna w brązowym kombinezonie. Uśmiechał się szeroko.

- Witam państwa. Mam na imię Paul. Zaprowadzę państwa do pana Constance'a - oznajmił.

Tom podał mu dłoń. Maria poszła w jego ślady.

- Witaj, Paul. Jestem doktor Ramsey, a to jest pani Wyatt. Czy w dobrym miejscu zaparkowałem?

- W najlepszym. Zimno dzisiaj, prawda?

- Bardzo zimno - stwierdziła Maria.

Paul miał około dwudziestu lat i cierpiał na zespół Downa. Jego uśmiech od razu podbił jej serce.

Poprowadził ich mrocznym korytarzem, po czym zapukał do już otwartych drzwi.

- Proszę pana, przyprowadziłem doktora Ramsey'a i... i panią - zaanonsował ich.

Weszli do zagraconego biura.

Pan Constance był otyły i pogodny. Przywitał się z nimi, wyraził radość z ich przybycia, po czym oznajmił:

- Jestem teraz bardzo zajęty, więc poproszę Paula, żeby państwa oprowadził po naszych warsztatach, przedstawił, kogo należy, a potem zapraszam do siebie na kawę.

- W porządku - odrzekł Tom. - Paul, chcę obejrzeć zabawki dla małych dzieci. Zamierzam kupić dużo zabawek. - Następnie zwrócił się do Marii. - Chcesz poczekać, czy pójdziesz z nami?

- Z przyjemnością dotrzymam wam towarzystwa.

Paul, dumny jak paw, oprowadzał ich po warsztatach. Większość pracowników stanowiły osoby z syndromem Downa. Wszyscy byli pochłonięci pracą, lecz szerokim uśmiechem witali niespodziewanych gości.

Maria nie żałowała, że wybrała się na ten obchód. Z pracowni Paul zaprowadził ich do salonu wystawowego. W starym młynie oprócz wytwórni zabawek mieściła się hurtownia, więc wybór był tu ogromny.

- Mam kilka pomysłów. Głównie dlatego, że wiem, czym James lubi się bawić - powiedział Tom. - Ale nie mam zielonego pojęcia, co ucieszy dziewczynki oraz starszych chłopców.

- Uruchom wyobraźnię. Pamiętaj, że zabawki nie są do oglądania, a do zabawy. Do rzucania, siadania na nich, kopania, drapania. Muszą być solidne jak czołg. I bezpieczne.

Tom sięgnął po drewniany fort i oglądał go z zaciekawieniem charakterystycznym dla chłopców w każdym wieku.

- To się zupełnie nie nadaje - orzekła, nie kryjąc satysfakcji. - Popatrz, tu wszędzie są gwoździe. Jak odpadnie jeden bok, sterczy ich kilkanaście. Dzieci się pokaleczą.

- Chyba wiesz, co mówisz.

- Wystarczy zdrowy rozsądek.

Prawdę mówiąc, bardzo jej się tu podobało. Skoro Tom może być małym chłopcem, który zobaczył fort, ona będzie

dziewczynką buszującą wśród lalek. Poza tym dobrze się czuła w jego towarzystwie. Oglądali, namawiali się, wybierali, wpisywali kolejne zabawki do arkusza zamówień, który wręczył im Paul. Ku swojemu zaskoczeniu Maria stwierdziła, że doskonale się bawi.

W pewnej chwili podeszła do niewielkiej gabloty. Wewnątrz stał drewniany, czarno - czerwony pociąg. Od razu go rozpoznała. Poczowała, że sztywnieje. Słyszała, że Tom coś do niej mówi, ale nic z tego do niej nie docierało.

- Co ci jest? Tu jest bardzo ciepło. Może usiądziesz? Przynieść ci wody?

Nareszcie zrozumiała. W jego głosie wyczuła zatroskanie.

- Nie, nic mi nie jest. Ale... nie zauważyłam go.

- Czego? Tego pociągu?

- To jest Rory, czerwony pociąg. Kupiłam taki pociąg Jamesowi na drugie urodziny. Od razu stał się jego ulubioną zabawką. On się z nim nie rozstawał. Kiedy... kiedy zachorował... trzymał go w łóeczku.

Ujął jej dłoń, a drugą ręką ją objął.

- Doznałaś wstrząsu, ale to zaraz przejdzie. Odprowadzę cię do pana Constance'a...

- Nie! Jeszcze nie skończyliśmy. Podaj mi listę. Zamówmy cztery takie kolejki. - Tom spojrzał na nią niepewnie. - To jest bardzo dobra zabawka, solidnie wykonana. Dzieciom od razu się spodoba, zaręczam. Kup cztery.

- Zgoda. Cztery.

Opuścił ramię, ale dalej trzymał ją za rękę. Sprawiało jej to dużą przyjemność.

Kupowanie zabawek hurtem okazało się znacznie trudniejsze, niż myślała. Wybieranie towaru, analiza cennika, ustalenie terminów dostawy zabrało im bite trzy godziny. Może to dziwne, ale gdy szok minął, poczuła, że to zajęcie

bardzo ją wciąga. Tym razem dla odmiany mogła zająć się czymś innym niż człowiek. Daty, ceny, niezmiennie fakty - jakie to proste. Wreszcie transakcja dobiegła końca. Pożegnali się z Paulem, przy okazji zapewniając go, że warsztaty bardzo im się podobały. Gdy ponownie znaleźli się na podwórku, zapadał zmrok.

- Bardzo mi pomogłaś - powiedział Tom. - Wiedziałem, kogo wybrać na doradcę. Pamiętam, że obiecałem ci lunch. Uważam, że oboje zasłużyliśmy na porządny posiłek. Niedaleko jest restauracja, właściwie pub, który mi polecano. Już zarezerwowałem stolik.

- Nie będę ukrywać, że jestem głodna.

- Ten pub jest trochę na uboczu, na jednym ze wzgórz - mówił. - Specjalnie wybrałem warsztaty Świętego Fillana, ponieważ chciałem być z tobą sam na sam.

- Domyśliłam się. Przebywanie z tobą sam na sam bardzo mi odpowiada, pod warunkiem że do towarzystwa będzie jeszcze kelner i jedzenie.

- To wyjątkowo udane połączenie.

Pub „Pod Saracenem” mieścił się w zabytkowym budynku z piaskowca. Kelner wskazał im stolik przy oknie, skąd roztaczał się widok na niziny. O tej porze było już ciemno, więc wsie i miasteczka wyglądały jak skupiska migotliwych żółtych światełek.

Gdy na początek kelner podał jej kieliszek białego wina, poczuła, że może się zrelaksować.

- Powiadasz - zaczęła - że chwilowo jesteś wolny jak ptak.

- Tak. Przez kilkadziesiąt godzin jestem kawalerem. I bardzo się cieszę z towarzystwa tak atrakcyjnej kobiety. Ale brakuje mi Jamesa.

- Pola rodzica samotnie wychowującego dziecko nie jest łatwa.

Wzruszył ramionami.

- Mama mieszka niedaleko, a on za nią przepada, zresztą z wzajemnością. Ale, jak się domyślasz, często muszę przekonywać ludzi, że dziecko powinno mieć dwoje rodziców.

- Pod warunkiem że są dobrymi rodzicami. - Bawiła się kieliszkiem, zastanawiając się nad tym, o co zamierzała go zapytać. To najlepsza pora i czas. Mimo to trochę się bała. - Tom, czy rozmawianie o twojej żonie sprawia ci dużą przykrość? O tym, jaka była, ile dla ciebie znaczyła?

- Tak, trudno mi o tym mówić - odparł opanowanym tonem. - Często o niej myślę, ale nie lubię o niej opowiadać. Nie mam takiej potrzeby.

Nie będzie łatwo, pomyślała. Ale skoro już zaczęła, nie może się wycofać.

- Kiedy ktoś nam umrze - zaczęła z wahaniem - bardzo często przyjaciele i reszta rodziny uważają, że najlepiej jest udawać, że to się nie stało. Unikają tego tematu. To bardzo źle. Twoja żona była i jest częścią ciebie. Więc dlatego chciałabym o niej usłyszeć więcej.

- Masz konkretny powód?

- Wydaje mi się, że się polubimy. Czy to nie wystarczy? Poza tym... sprowokowałeś mnie, żebym ci opowiedziała o moim Jamesie. Było to dla mnie bardzo bolesne, ale potem odczułam nawet pewną ulgę.

Chyba zastanawia się, od czego zacząć. Z kamienną twarzą spoglądał przez okno. W końcu przemówił pozornie normalnym głosem, ale ona wyczuła kryjące się za tym emocje.

- Miała na imię Jane. Ja jestem zamknięty w sobie, a ona była moim przeciwieństwem. Tryskała radością, wszędzie miała przyjaciół. Sama jej obecność napawała każdego optymizmem. Lata z nią spędzone były najszcześniejsze w moim życiu.

- Jak długo byliście małżeństwem?

- Tylko cztery lata. Szaleliśmy z radości na wieść, że będziemy mieć dziecko. Cięża przebiegała bez komplikacji. Trudno jest być położnikiem, który wie, co się może zdarzyć, ale trzymałem się myśli, że znakomita większość porodów jest udana.

Zawahał się i nie oderwał wzroku od widoku za oknem.

- Co się wydarzyło?

- James się urodził. Pamiętam, jak się oboje cieszyliśmy. Potem ujawnił się zator. Wody płodowe dostały się przez łożysko do krwiobiegu, a Jane zareagowała alergicznie. Zrobiło się jej zimno, nie mogła oddychać, ogarniał ją coraz większy niepokój. Ja także zacząłem się bać. Zbiegli się specjaliści z całego szpitala, ale wszyscy wiedzieliśmy, że jesteśmy bezradni. Dziecko było zdrowe, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że szanse Jane są nikłe. Zapadła w śpiączkę. Siedziałem przy niej, trzymałem ją za rękę, a ona umierała. Sam chciałem umrzeć. Ale miałem dziecko. Obowiązki. - Dopiero teraz przeniósł na nią wzrok. - Nie chcę po raz drugi przechodzić przez coś takiego.

Na jego twarzy malowało się cierpienie. Chciała go pocieszyć, przekonywać, że z czasem to minie, ale czy ma do tego prawo?

- I dlatego z nikim ponownie się nie związałeś?

- Przez długi czas po prostu nie miałem na to czasu. Teraz jest inaczej. Mam syna, którym się opiekuję i który przysparza mi wystarczająco dużo kłopotów.

Nie mogę się zakochać, bo nie chcę ryzykować, że drugi raz spotka mnie taka tragedia. Jestem całkiem zadowolony ze swojego losu.

- Przepraszam, że kazałam ci znów to przeżywać. Wiem, co czujesz.

Pokręcił głową.

- Nie przepraszaaj. Chyba rzeczywiście za często duszę to w sobie, a za rzadko myślę o innych. Patrz, idzie do nas kelner.

Inny głos, inny wyraz twarzy. Koniec bolesnych zwierzeń. Od tej chwili będą zachowywali się jak normalni ludzie, starannie ukrywając swój ból przed innymi oraz całym światem. Mimo to czuła, że udało jej się otworzyć między nimi pewną furtkę. Na razie nie wiedziała, czy to dobrze czy źle.

Posiłek był wyśmienity, ale później nie mogła sobie przypomnieć, co jadła. Potem wrócili do miasta. Zajechali pod dom pielęgniarek całkiem wcześnie.

Gdy stanęli pod drzwiami, położyła mu ręce na ramionach i pospiesznie go pocałowała.

- Dziękuję za wspaniały dzień. To jest pocałunek na dobranoc, nic więcej - szepnęła.

- Nic więcej - powtórzył, kładąc jej dłonie na biodrach. Mogła się odsunąć, ale nie chciała. Nie oczekiwała tego, ale teraz nie zamierzała niczego zmieniać.

Podniosła na niego wzrok. Było ciemno, ale mimo to dostrzegła na jego twarzy zakłopotanie.

- Jesteś bardzo atrakcyjna, mądra i dobra. Dobrze mi z tobą. Lubię cię trzymać za rękę. Budzisz we mnie emocje, o których myślałem, że umarły, które uświadamiają mi, z czego rezygnuję.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Mogłaby mu się wymknąć, powstrzymać go. Tak byłoby najrozsądniej, ponieważ czuła, że przenosi się tam, gdzie to, co pewne w jej życiu, może zostać zaburzone. Ale przestała się tym przejmować. Świat wokół niej przestał istnieć. Wiedziała tylko, że Tom ją całuje i że chciałaby, by ten pocałunek trwał.

Jęknęła, gdy uniósł głowę. Dlaczego przestał? Jakiś wewnętrzny głos podpowiedział jej, że dobrze się stało, bo sytuacja mogłaby rozwinąć się w niewłaściwym kierunku.

- Czy to było słuszne posunięcie? - zapytał.

- Chyba nie. Bo rozpoczęło coś, czego się boję.

- Żałujesz? Głupie pytanie.

- Nie. A ty?

- Można czegoś takiego żałować? To na pewno nie ja. Ale co teraz będzie? Jak ja ci w poniedziałek spojrzę w oczy?

- Coś wymyślimy - rzuciła i czym prędzej zniknęła za drzwiami.

Już u siebie wzięła prysznic, włożyła szlafrok i z kubkiem kakao zasiadła w łóżku. Powinna sobie przemyśleć, co zrobić z Tomem, zastanowić się nad swoimi uczuciami. Po chwili jednak uznała, że nie będzie tego analizować, że chociaż raz zaufa losowi. Przez większą część życia tylko się zastanawia i zamartwia. Uśmiechnęła się na wspomnienie tego pocałunku i zapragnęła, by było ich więcej.

W poniedziałek okazało się, że problem sam się rozwiązał. Nie musiała witać się z Tomem... bo go nie było.

- Wróci za tydzień - oznajmiła Molly. - Wypożyczył go sobie szpital pod Sheffield. Podobno jakiś wirus wykosił tam wszystkich ginekologów. Oddadzą go nam w piątek.

Mimo to Maria czuła się zawiedziona. W sobotni wieczór zaczęło się coś, co wymagało wyjaśnienia. Zależało jej na tym, by dowiedzieć się, co on czuje, tym bardziej że sama nie była pewna swoich emocji.

Koło południa zadzwonił jej telefon.

- Co słyhać u mojej ulubionej położnej? - zapytał znajomy męski głos.

- Twoja ulubiona położna tęskni - wyrwało się jej, nim zdążyła pomyśleć.

Westchnął.

- Ja też się za tobą stęskniłem... Nie wypadało mi odmówić. Mam tu masę roboty.

- Kiedy wrócisz?

- W piątek. Pamiętasz o spotkaniu z mieszkańcami Landmoss? Będiesz? Przyjadę, żeby na nie zdążyć.

- Oczywiście, że tam będę. Tom, musimy porozmawiać o tym, co wydarzyło się w sobotę. Chyba że był to wyłącznie przyjacielski pocałunek na dobranoc.

- Raczej nie - odrzekł niepewnym tonem. - Chcesz teraz o tym rozmawiać?

- Nie przez telefon! Muszę cię zobaczyć. To ważne.

- Zgadzam się. Musimy...

Na drugim końcu linii rozległ się odgłos otwieranych drzwi.

- Doktorze, jest pan potrzebny. Mamy problem!

- Wobec tego do piątku - powiedziała pospiesznie. - Taka rozłąka da nam czas do namysłu. - Odłożyła słuchawkę.

Ogarnęło ją uczucie pewnej ulgi, której jednocześnie towarzyszyła nuta rozczarowania.

Nawał pracy zawsze mu służył. Zastępując chorych kolegów, miał teraz urwanie głowy, pracował po kilkanaście godzin na dobę, ale nie wyobrażał sobie, by mógł odejść od łóżka chorej lub nie udzielić pomocy cierpiącemu dziecku. Przy życiu trzymały go kolejne kawy i kanapki przynoszone z bufetu przez pielęgniarki. W nocy padał na leżankę i natychmiast zasypiał ze świadomością, że za chwilę znowu ktoś go obudzi.

Znosił to ze stoickim spokojem. Taka harówka dobrze mu zrobi, pomoże zapomnieć o dotychczasowym uregulowanym, spokojnym życiu oraz o osobie, która nagle w nie wtargnęła, wywołując w jego umyśle zamęt, jakiego od lat nie doświadczył.

Jednak od czasu do czasu przypominała mu o sobie. Po raz pierwszy stanął mu przed oczami jej uśmiech, gdy opatrywał poranione dziecko, a potem gdy był zmęczony lub zły, gdy coś się nie układało. To wspomnienie działało na niego kojąco, uznał je więc za swoisty talizman, który pomaga dostrzec, że życie nie jest takie ponure.

Stopniowo docierało do niego, jak bardzo zależy mu na Marii. Prawdę mówiąc, bardziej niż na którejkolwiek z kobiet, które stanęły na jego drodze po śmierci Jane.

Co teraz? Ma zaryzykować i znowu kogoś pokochać? Do tej pory odrzucał taką możliwość. Może jednak...

- Doktorze, niepokoi mnie ciśnienie pani Emily. - W progu stała zabiegana młoda pielęgniarka. - Dobrze by było, gdyby pan doktor do niej zajrzał... I tak w kółko.

Nadszedł piątkowy wieczór, koniec pracowitego tygodnia. Radość Marii z perspektywy ujrzenia Toma mąciło uczucie niepewności. Mimo że przez ten czas głęboko się zastanawiała nad przyszłością, nie doszła do żadnych konkretnych wniosków.

Jechała wąskimi uliczkami dzielnicy Landmoss z ostatnią tego dnia wizytą, do państwa Chester i ich nowo narodzonej córeczki. Mała Anna spisywała się doskonale.

Pojawienie się dziecka zdecydowanie osłabiło pedantyczne zapędy młodej matki. Stała się bardziej zrelaksowana, łatwiej było się z nią porozumieć. Przy kominku suszyły się śpioszki, a tuż obok, pod ścianą, stała wanienka. Po badaniu poczęstowano Marię herbatą, ale tym razem w kubku, oraz ciasteczkami prosto z pudełka.

- Anna odmieniła moje życie - wyznała pani Chester. - Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję dziecka.

- Dziecko zazwyczaj wprowadza wiele zmian - przyznała Maria.

- Kiedy bezpiecznie można począć drugie? - zapytała pani Chester. - Chciałabym jak najszybciej. A potem trzecie. Nieważne, czy to będą dziewczynki czy chłopcy, tylko chciałabym, żeby różnica wieku była jak najmniejsza. Wtedy przydałby się nam większy dom, ale Brian uważa, że nas stać. - Teraz przemówił przez nią dawny planista doskonały. - Po trzecim dziecku mąż podda się wasektomii - oświadczyła zdecydowanym tonem.

- W okresie karmienia piersią rzadko dochodzi do zapłodnienia, ale za cztery, pięć miesięcy, kiedy odstawi ją pani od piersi, zapłodnienie jest możliwe. Proszę jednak pamiętać, że przy dwójce maluchów jest dwa razy więcej pracy. - Zawahała się. - Nie mogę się wypowiadać w kwestii wasektomii, ale... coś się może stać... I będą państwo chcieli... począć jeszcze jedno.

- Zobaczymy - rzekła pani Chester pogodnie.

Stowarzyszenie mieszkańców dzielnicy Landmoss spotykało się w drewnianym baraku nieopodal przychodni. W planach była budowa murowanego budynku, ale na razie sprawa się odsunęła na czas nieokreślony. Maria postanowiła pójść tam piechotą. Barak wyglądał na niedawno odmalowany, a ogród dokoła na zadbany. Jedynym wspomnieniem dawnych czasów były siatki w oknach.

Dotarła tam przed czasem. Tom zdążył ją poinformować, że jest w drodze. Na miejscu zgromadziły się matki - ojców nie było widać - z dziećmi, które szalały we wszystkich pomieszczeniach. W holu powitała ją Eunice Gee, przewodnicząca stowarzyszenia, która od razu zaprosiła ją na herbatę.

Dziesięć minut później usłyszały wycie syreny. Pani Gee poprawiła się w fotelu.

- Znowu ten alarm pożarowy - westchnęła. - Stale się włącza. Bez powodu.

- Mimo to chyba należałoby wyjść na dwór - zauważyła Maria. - Jako członkini zarządu powinna pani świecić przykładem.

- No dobrze, ale proszę włożyć płaszcz. - Pani Gee widocznie uznała, że świecenie przykładem dobrze zrobi jej wizerunkowi. Wyszędłszy na dwór, na parkingu ujrzały zbiegowisko. - Prawdziwy pożar! - zdumiała się pani Gee.

To nie moja sprawa, pomyślała Maria, ale...

- Macie plan ewakuacji? - zapytała. - Wiecie, co należy robić?

- Mamy wyjść tu, gdzie już wszyscy stoją.

- Czy ma pani listę wszystkich obecnych w budynku?

Pani Gee nagle się przestraszyła.

- To miało być zebranie otwarte. Nie wiem, kto przyszedł ani gdzie jest.

- Wobec tego musimy obejść wszystkich i każdego z osobna zapytać, z kim przyszedł oraz czy widzi tę osobę. Nie ma ich dużo, a poza tym wyglądają na zaprzyjaźnionych.

Był to pierwszy pożar w jej życiu, ale kiedyś pracowała w firmie handlującej zabezpieczeniami przeciwpożarowymi, a w ramach szkolenia na oddziale ratowniczym miała okazję zapoznać się z przerażającymi skutkami pożaru.

Przepytując osoby zebrane na parkingu, dotarła do małej dziewczynki, która rezolutnie stwierdziła:

- Nie ma Alice May.

- Kto to jest?

- Przyjechała z mamą, ale jej mama pojechała do domu i powiedziała, że wróci za godzinę. Alice się z nami bawiła. Ona ma czerwoną kurtkę.

- Kiedy ostatni raz ją widziałaś? Dziewczynka wyraźnie się spieszyła.

- Bawiliśmy się w chowanego w magazynie, ale nam nie wolno tam wchodzić. Może Alice poszła do domu?

- Gdzie jest ten magazyn? - zapytała Maria jak najspokojniejszym tonem, by dziewczynki nie przestraszyć.

Magazyn znajdował się w odległym końcu budynku. Spojrzawszy w tamtym kierunku, zmartwiała z przerażenia. Płomieni nie było widać, ale drzwiami i oknami buchały kłęby dymu. Wiedziała, że powinni się tym zająć specjaliści, że należy na nich czekać. Ale straż nie przyjeżdżała, a dym gęstniał.

- Niech nikt za mną nie idzie! - zawołała do pani Gee, po czym wbiegła do zadymionego pomieszczenia.

Przypomniał jej się wykład sprzed lat: „Dym zabija podobnie jak płomień. Proszę sobie zapamiętać, że nad samą podłogą zawsze jest warstwa świeżego powietrza. Należy się położyć i nim oddychać”.

Naciągnęła płaszcz na głowę i na czworakach posuwała się korytarzem. W połowie drogi usłyszała za plecami złowieszczy odgłos. Kątem oka spostrzegła, że pełzające po podłodze płomień odcinają jej drogę odwrotu. Parła dalej do przodu, mimo że kaszel rozsadzał jej płuca. Minęła pokój zabaw, aż w końcu dotarła do drzwi magazynu. Otworzyła je, wturlała się do środka i pośpiesznie je zamknęła. Tutaj było mniej dymu, ale panowało niesamowite gorąco,

- Alice! Alice! Jesteś tu?

Upłynęło kilkadziesiąt sekund, zanim otworzyły się drzwi jednej z szaf, po czym wychynęła z niej dziewczynka w czerwonej kurteczce.

- Boję się - powiedziała drżącym głosem.

- Podejź do mnie, postaramy się stąd wydostać. Zaraz wyjdziemy na świeże powietrze - mówiła Maria, mimo że optymizm powoli ją opuszczał.

Uchyliła drzwi na korytarz, lecz natychmiast je zatrzasnęła. Tam szalał ogień. Czy jest inna droga ucieczki? Chwyliła krzesło, by wybić nim szybę w oknie. W pierwszej

chwili uderzyła ją fala świeżego powietrza, ale gdy sięgnęła, by wyjąć kawałek szkła z ramy, struchlała. W oknie pozostała metalowa siatka. Uderzyła w nią krzesłem, lecz siatka ani drgnęła. Gdy naparła na nią całym ciałem, poczuła, jak szkło wbija się jej w ramię.

W tej samej chwili za siatką zamajaczył połyskujący hełm, następnie ukazała się męska twarz i granatowy mundur.

- Niech się pani odsunie od okna! Zaraz was stamtąd uwolnimy - powiedział strażak.

Przyciągnęła do siebie zapłakaną dziewczynkę. Rozległ się trzask wyłamywanej ramy okiennej i brzęk szkła. Zdjęła kurtkę, przewiesiła ją przez parapet, uniosła dziecko i ostrożnie podała strażakowi, który pobiegł z nim w stronę zebranych gapiów, po czym z czyjąś pomocą sama się wygramoliła na zewnątrz.

- Ktoś tam jeszcze został?

- Nikogo nie ma w pokoju zabaw ani w magazynie. Sprawdziłam.

Rozejrzała się dokoła. Barak płonął. Przed nim stali strażacy, którzy już polewali go wodą, a przez zbiegowisko przepychał się Tom.

- Mario, czy nic ci się nie stało? - Chwycił ją za ramiona, jakby chciał się upewnić, że jest cała i zdrowa.

Wstrzymała oddech. Dopiero teraz dotarło do niej, jak to mogło się skończyć.

- Nic mi nie jest, tylko się skaleczyłam. Gdzie Alice?

Tom wyglądał na zaskoczonego, jakby to pytanie było całkowicie pozbawione sensu.

- Chyba jest przestraszona - odparł. - Ratownicy zabierają ją do szpitala. Tobie na pewno nic się nie stało?

- Już mówiłam, że nic!

- Wobec tego porozmawiajmy. - Objął ją i odciągnął na bok. - Wiem o wszystkim. Mario, zachowałeś się jak szaleniec. Mogłaś zginąć!

- Ale nie zginęłam. Bałeś się, że stracisz jedyną położną?
- Aby pokryć zmieszanie, wysiliła się na żart.

- Mario, kiedy usłyszałem, że tam jesteś... w tym piecu, kiedy wyobraziłem sobie, że możesz spłonąć...

- Potrząsnął nią zagniewany. - Jak mogłaś?!

Była wstrząśnięta jego reakcją. To ma być ten opanowany, niewzruszony Tom? Tyle emocji z jej powodu?

- Naprawdę nic mi nie jest - tłumaczyła się. - Mam kilka drobnych zadrapań, nic więcej. Ogień do mnie nie dotarł.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Powinnaś pojechać do szpitala - oświadczył.

- Należy cię przebadać.

- Nie. Nic mi nie jest! I nie pojedę do szpitala. Nie lubię takiego zamieszania wokół siebie.

Powoli się uspokajał, mimo że nadal nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Ostatecznie podał jej pęk kluczy.

- Idź do przychodni i tam na mnie zaczekaj. Muszę się upewnić, że nikt mnie tutaj nie potrzebuje i zaraz tam przyjdę.

Podszedł do nich stojący niedaleko strażak.

- Zgodnie z regulaminem tę panią powinien zbadać lekarz, ale skoro pan nim jest, uważam, że mogę pozwolić pani się oddalić. Na przyszłość radziłbym pani zostawić takie akcje nam, strażakom. To nasz zawód. Mimo to podejrzewam, że uratowała pani życie temu dziecku. - W drodze do przychodni więcej się nie odezwał.

W pokoju Toma owinęła się pledem i zasiadła w jego fotelu. I nieoczekiwanie się rozplakała. Pierwszy raz w życiu. Uratowała życie dziecku. To wielka sprawa.

Tom zgodnie z obietnicą zjawił się pół godziny później. Usiadł przed nią i ujął ją za rękę.

- Już nie jestem tam potrzebny. Ratownicy lepiej się na tym znają niż ja. Nikt nie odniósł żadnych obrażeń, jedynie matka Alice, dowiedziawszy się, co się stało, dostała ataku hysterii. Mario, dobrze wiesz, że powinnaś przejść badania w szpitalu.

- Nic mi nie jest. I nie pojedę do szpitala.

Wyczuła, że Tom próbuje zapanować nad drżeniem głosu, że ciągle przeraża go myśl, co mogło się wydarzyć oraz że maska lekarza profesjonalisty pomaga mu dojść do siebie.

- Albo jedziesz do szpitala, albo zbadam cię tutaj.

- Tom, nic mi nie jest - powtórzyła po raz kolejny. - Muszę tylko...

- Szpital albo ja!

Przeszła z nim do ambulatorium. Zmierzył jej tętno, ciśnienie krwi, po czym ją osłuchał, aby utwierdzić się w przekonaniu, że nie doszło do zacczadzenia.

- Jesteś w lepszym stanie, niż myślałem. - Westchnął. - Obejrzyjmy teraz zadrapania na nogach. Zdejmij rajstopy.

Zadrapania znajdowały się nie tylko na nogach, a chociaż były to zaledwie draśnięcia, teraz dawały jej się we znaki. Tom zdezynfekował je i opatrzył. Uznał, że nie zachodzi potrzeba założenia szwów.

- Twój stan fizyczny nie budzi niepokoju - orzekł. - Podejrzewam jednak, że nadal jesteś w szoku i dlatego w nocy nie powinnaś być sama. Masz kogoś, kto mógłby cię popilnować? Masz tu rodzinę?

- Nie. Ale nic mi się nie stanie.

- Nie jestem tego taki pewien. - Zamyślił się. - Mario, uważam, że na tę noc powinnaś przenieść się do mnie. Jestem wprawdzie sam...

- Tego bym się nie obawiała. - Rozważała w myślach jego propozycję. - Zgoda. Bardzo ci dziękuję.

- Wobec tego chwilę tu zaczekaj.

Popędził do swojego pokoju, wypił duszkiem szklanę wody, po czym wodą z kranu obmył twarz oraz kark. Lodowata woda go otrzeźwiła. Tego najbardziej potrzebował.

Gdy ją badał, po raz kolejny zdał sobie sprawę, że mogła zginąć. To go poraziło. Przez miniony tydzień harował jak wół. Tego wymagała sytuacja i był z tego zadowolony. Nie myślał wtedy o Marii, o swoich uczuciach, o tym, jak powinien ją traktować. Teraz jednak widział, jak z narażeniem życia rzuciła się ratować czyjeś dziecko. Ogarnęło go prawdziwe przerażenie.

W drodze do domu był dziwnie zamyślony i cichy.

- Tom, co ci jest? - zaniepokoiła się. - Jesteś spięty. Czy komuś coś się stało? Zbadałeś mnie i już wiesz, że nic mi nie dolega. O co ci chodzi?

Przez chwilę się wahał, po czym postanowił być szczery.

- Kiedy przyjechałem, barak stał w ogniu. Dowiedziałem się, że jesteś w środku. W żaden sposób nie mogłem się do ciebie dostać. Przyszło mi na myśl, że umierasz, a może nawet już umarłaś. Poczulem, że tego nie zniosę. Już raz przeżywałem taki ból.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zaprowadził ją do ładnego domu w dużym ogrodzie, który nawet w zimie wyglądał na zadbane.

- Mam ogrodnika - wyjaśnił. - Nie mam czasu tym się zajmować. W lecie lubię tu sobie posiedzieć. Proszę, wejdź.

Znaleźli się w obszernym salonie. Mimo że kosztownie i wytwornie umeblowany, sprawiał wrażenie przytulnego.

Rozglądając się, natychmiast zauważyła fotografię nad kominkiem. Było to zdjęcie ślicznej dziewczyny, która uśmiechała się promiennie do całego świata. Domyśliła się, kto to jest, i poczuła trochę niepewnie.

- To jest Jane? - zapytała.

- Tak. Chcę, żeby James wiedział, że kiedyś miał matkę.

- Słusznie. To zdjęcie tobie też o niej przypomina.

- I tak myślę o niej codziennie.

Powiodła wzrokiem po ciemnoczerwonych zasłonach, perskim dywanie na lśniącej podłodze, po skórzanych kanapach. Poczowała się nieswojo, świadoma tego, jak wygląda... i pachnie. Może to dziecinada, ale przy tym mężczyźnie wolałaby zaprezentować się z lepszej strony.

- Tom, nie powinnam tu przychodzić. Śmierdę dymem, mam brudne ubranie. Wyglądam okropnie. Odwieź mnie...

- Marsz do wanny! Na piętrze - zakomenderował. - Przyniosę ci ręczniki, a szampon, suszarka i inne rzeczy już tam są. Znajdę ci jakiś strój i dam plastikowy worek na ubrania. Chyba że chcesz od razu wrzucić je do pralki.

- Zabiorę je do siebie. - Kępowała ją myśl, że Tom mógłby prać jej rzeczy.

Razem weszli do jego sypialni wyłożonej boazerią, z ciemnymi zasłonami. Pokazał jej, gdzie jest łazienka, podał z szafy ręczniki. Oraz damski szlafrok.

- To jest szlafrok mojej mamy - wyjaśnił z uśmiechem. - Mieszka niedaleko i często u nas nocuje. Czy potrzebujesz

jeszcze czegoś, żeby się wykapać? Potem zmienię ci opatrunki.

- Dzięki.

- Na wszelki wypadek zostaw otwarte drzwi. Zawołam, jak będę przechodził.

Przyjemnie było zdjąć cuchnące dymem rzeczy i zamknąć je w plastikowym worku, a jeszcze milej zanurzyć się w gorącej wodzie i pachnącej pianie, mimo że zaczęły ją piec nawet najdrobniejsze zadrapania.

Zazwyczaj brała prysznic, a kąpiel wyłącznie z powodu specjalnych okazji. Pożar to także specjalna okazja. Wylegiwanie się w rozkosznie ciepłej kąpieli sprzyja rozmyślaniom, ale tym razem Maria nie chciała myśleć ani podejmować decyzji. Pozwoli sprawom toczyć się ich własnym torem. Nie wiedziała, że Tom tak zareaguje na jej ryzykowne zachowanie. Skrzyczał ją, a jednocześnie był przestraszony.

To dobrze, że ktoś się nią przejmuje. A może to coś więcej?

Usłyszawszy szelest w sypialni, zanurzyła się w pianie.

- Mam coś, w co możesz się ubrać! - zawołał. - Mój stary dres. Nie jest wytworny, ale będzie ci w nim ciepło. Kładę go na łóżku.

Westchnęła. Zdaje się, że powinna już wyjść z wanny.

Dres okazał się za duży, ale się tym nie przejęła. Wzięła głęboki wdech i zeszła na dół.

Tom również się przebrał w sportowe spodnie i T-shirta. Oboje byli boso. Podał jej szklanekę z wodą.

- Tu jest rozpuszczony środek przeciwbólowy. Powinien trochę pomóc. Potem możesz napić się wina. Jesteś głodna?

Energicznie pokiwała głową.

- Zrobiłem kanapki, więc siadaj i zjadaj. Na pewno masz niski poziom cukru. Posiedzimy tu sobie przez godzinę, a

potem radziłbym ci się położyć. Po takich przeżyciach nie ma nic lepszego niż sen.

- Tak, panie doktorze - odparła z uśmiechem. Taki program wieczoru bardzo jej odpowiadał.

W tle brzmiała muzyka, przed nią stały kuszące kanapki, a on nalewał do kieliszków białe wino. Przez chwilę czuła się pogodzona z całym światem. Zmęczona, ale szczęśliwa.

- Nie masz tu nikogo? - zapytał. - Twoja rodzina mieszka daleko?

- Można to tak ująć. Na Florydzie.

- To bardzo praktyczne rozwiązanie, gdy chodzi o urlop.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy tam nie byłam. Mama umarła, kiedy miałam dziesięć lat, a jak miałam czternaście, ojciec ożenił się po raz drugi. Nie umiałam się dogadać z macochą. Jak skończyłam osiemnaście lat i znalazłam sobie pracę, oboje odetchnęli z ulgą. Nawet nie zwróciłam się do nich o pomoc, kiedy okazało się, że... - przypomniała sobie, że już mu o tym mówiła - że jestem w ciąży.

- Podejrzewam, że nie było ci łatwo.

- Ale sobie poradziłam. Życie mnie nauczyło, że mogę polegać wyłącznie na sobie. Moja rodzina jest całkiem inna niż twoja.

Żałowała, że tak jest. Bardzo chciałyby mieć taką matkę jak on. I syna jak...

Zorientował się, że ona nie ma ochoty na wynurzenia.

- Być może. Jeszcze wina?

- Już nie, dziękuję. - Stłumiła ziewnięcie. - Jestem skonana.

- Więc idź spać. Kiedy się kąpałaś, przygotowałem ci łóżko. Masz za sobą bardzo wyczerpujący dzień.

Zaprowadził ją na górę i dalej długim korytarzem do niewielkiego pokoiku gościnnego, gdzie stało łóżko z

pachnącą pościelą. Była tam jeszcze półka z książkami i nocny stolik, na którym stała karafka z wodą.

- Łazienka jest za ścianą - oznajmił. - Znajdziesz tam wszystko, co może być ci potrzebne. Położyłem dla ciebie szczoteczkę do zębów. Nie będę cię rano budził. Dobranoc, Mario.

- Jesteś taki dobry... - Wspięła się na palce, by go pocałować.

To miał być przyjacielski pocałunek. Za to w usta. Stali tak przez chwilę bez ruchu, dotykając się tylko wargami, aż położyła mu dłonie na ramionach i przymknęła powieki.

Tom się wahał. Potem poczuła, że otacza ją ramionami. Bliskość jego ciała dawała jej takie poczucie bezpieczeństwa, że do końca życia mogłaby tej pozycji nie zmieniać. O nic nie musiała teraz się troszczyć.

Potem wyczuła, że Tom zamierza się od niej odsunąć. Wiedziała dlaczego. Uważał, że ona nie wie, co robi, że potem będzie tego żałować.

Nieprawda. Zacisnęła palce na jego ramionach.

- Nie puszczaj mnie - wyszeptała. - Tom, proszę, ja cię potrzebuję.

Taki pocałunek nie mógł trwać wiecznie. Czowała narastające w Tomie napięcie. Ona sama nagle zapomniała o zmęczeniu. W jego miejsce niespodziewanie pojawiło się pragnienie, które domagało się spełnienia. Bez słowa przeszli do jego sypialni.

Był to akt desperacji i radości, afirmacja życia. Nie było czasu na subtelne pieszczoty. Od razu przyciągnęła go do siebie, jakby bała się, że ta Szansa jej umknie. W jej świadomości istniała jedynie rozpaczliwa potrzeba bliskości drugiego człowieka.

Przyjęła go bez cienia wahania. Gdy razem wznosili się na szczyty ekstazy, gdy się dali porwać burzy zmysłów, bez

opamiętania wołała jego imię. Potem, z trudem chwytając powietrze, leżeli obok siebie. I akurat wtedy się rozplakała.

- Mario, kochanie, co się stało?

- To nie twoja wina - szlochała. - Jest mi z tobą cudownie. Jesteś dla mnie taki dobry... Jeszcze nigdy nie doznałam tyle dobroci. Te chwile należą tylko do nas i tylko to się liczy. Więc mnie przytul, a obiecuję, że zaraz mi przejdzie.

Objął ją, a ona wkrótce zasnęła.

Po takim dniu mogła się tego spodziewać. Znowu przyśnił się jej dawny koszmar: poczucie bezsilności, ta przerażająca scena, świadomość, że na nic nie ma wpływu. Przebudziła się zapłakana i spocona. Ale tym razem było inaczej. Nie była w łóżku sama. Ktoś ją obudził, zanim sen dobiegł do ponurego końca.

- Krzyczałaś - powiedział Tom. - Przestraszyłem się, bo nie wiedziałem, co się stało.

- Przyśnił mi się koszmar. Miewam złe sny. O synku. Ale jak wiem, że jesteś przy mnie, to teraz już będę spała spokojnie.

Obudziła się pierwsza. Trzymała dłoń na piersi Toma i czuła, jak jego klatka piersiowa miarowo się unosi i opada. Leżała cicho, przypominając sobie niedawne uniesienia i radość z samego faktu przebywania z tym mężczyzną. Marzyła, by u niego zostać, zobaczyć, co przyniesie dzień. Ale brakowało jej odwagi. Bała się zobowiązań, nie wiedziała, czy sobie poradzi z Jamesem. Powinna znowu zamknąć się w swojej skorupie. Posmutniała.

Bezszelestnie wyśliznęła się z łóżka, narzuciła szlafrok, zeszła po ciemku na parter i zrobiła dwie herbaty. Kiedy wróciła na górę, Tom siedział na łóżku. Wcześniej zapalił nocną lampkę. Podała mu kubek, a sama usiadła w fotelu.

- Wracaj do łóżka - zaproponował.

- To bardzo ryzykowne. Jeśli tam wrócę, to chyba nigdy już nie wyjdę. - Nie, pomyślała. Nie to chciałam powiedzieć. - Tom, to była pomyłka. To moja wina. Przepraszam. - Spostrzegła, że nagle opuścił go spokój, a w jego oczach pojawiły się smutek i zaskoczenie. - Nawet jeśli była to pomyłka, było cudownie. Nie zapomnę tego do końca życia. Byłeś dla mnie taki dobry... Potrzebowałam ukojenia i ty mi je dałeś.

- Daliśmy sobie więcej niż ukojenie - zauważył. - Nie jestem amatorem przygód. I ty chyba też nie.

- To był zbieg okoliczności.

- To nie był zbieg okoliczności - obstawał przy swoim. - Mario, coś takiego się zdarza, ponieważ dwoje ludzi tego pragnie.

Na chwilę mu uwierzyła. Może potrafią się porozumieć? Może jest przed nimi jakaś przyszłość? Ale przypomniała sobie jego słowa.

- Już raz los dał mi szansę na szczęśliwe życie. Niczego mi nie brakowało. Miałam pracę, perspektywę awansu, dziecko. Ale potem los mi je odebrał. Przysięgłam sobie, że już nigdy nie będę zakładniczką losu.

- Rozumiem. Czuję chyba to samo. Wczoraj wieczorem było inaczej, wczoraj byliśmy szczęśliwi.

- Poza tym ty masz Jamesa. On jest słodki, już ci to mówiłam, ale ilekroć go widzę, serce mi pęka, ponieważ on nie jest tym drugim chłopcem. Nie jest moim dzieckiem, ale widzę w nim mojego synka, i to spędza mi sen z powiek.

- Może z czasem...

- Z czasem! Mówię o tym, co jest teraz!

Westchnął.

- Proponuję, żebyśmy na znak pokoju zjedli razem śniadanie. A potem...

- Potem odwieziesz mnie do domu.

Powiedziała, że jeszcze raz musi się wykąpać, ponieważ jej włosy wciąż jeszcze przesiąknięte są spalenizną, więc sam zszedł do kuchni, by przygotować śniadanie. Nie miał pojęcia, co będzie dalej, ale czuł, że ogarnia go strach. Że może stracić coś bezcennego. Jednocześnie bał się po to sięgnąć. Istniała przecież możliwość, że przeliczy się z siłami.

Oboje najwyraźniej uznali, że czas uniesień minął. Podczas śniadania rozmawiali o tym i owym, a pod koniec Maria go poprosiła, by odwiózł ją do przychodni, bo tam został jej samochód.

Pomimo jego protestów przebrała się w osmalony i podarty uniform.

- Jak tylko przyjdę do domu, znowu wezmę kąpiel - obiecała - a to wszystko wrzucę do pralki. Nie mogę paradować po hostelu w twoim dresie! To byłoby przesadnie ostentacyjne. - Wyjrzała na dwór. - Poza tym pada. Nikt nie zauważy, że mam brudny strój.

- Rób, jak uważasz. Ruszymy, jak będziesz gotowa. - Bardzo chciał, by została dłużej, ale zdawał sobie sprawę, że ona czuje potrzebę powrotu do swojego mieszkania.

Nie bardzo wiedział, jak się zachować. W nocy byli sobie bardzo bliscy. Nie chciał stracić tej bliskości, ale też bał się, że powie coś, co ją wystraszy.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem - powiedziała, gdy jechali do przychodni. - Będzie nam się bardzo dobrze pracowało. Zrobisz coś dla mnie? Zapomnij o tej nocy.

- To niemożliwe. Ale obiecuję, że zrobię wszystko, żeby nie utrudniać ci życia. - Uznał, że taka odpowiedź będzie najmniej zobowiązująca.

Przed przychodnią pocałowała go w policzek, po czym w strugach deszczu pobiegła do swojego auta. Oczekał na parking, aż jej samochód zniknie mu z oczu.

Wrócił do siebie. Wszedł do sypialni, gdzie jeszcze unosił się jej zapach, pościł łóżko i się położył. Rozmyślał przez dłuższy czas, ale nie doszedł do żadnego konstruktywnego wniosku.

Maria jest inna niż cała reszta kobiet. Nie, poprawił się, Jane była wyjątkiem. Nie dość, że Maria jest piękna, to jej towarzystwo sprawia mu ogromną przyjemność. Jest w niej coś, co idealnie współgra z jego osobowością. Kiedy razem pracują, odgadują niemal każdą swoją myśl. Pierwszy raz w życiu czuł, że łączy go z kobietą coś, czego nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Co robić? Uświadamiał sobie, że boi się stałego związku. Może coś mniej zobowiązującego? Nie ma mowy. To by jej uwłaczało. Uśmiechnął się ponuro. Wydawało mu się, że wystarczy, że na coś się zdecyduje. Ale ona też podejmuje decyzje. Dopiero co oświadczyła, że ta noc była pomyłką. Dała mu do zrozumienia, że to się nie powtórzy. Zdawał sobie sprawę, że James nadal stanowi dla niej poważny problem. Patrząc na jego syna, wspomina swoje dziecko. Na pewno jest jej trudno. Jak to zmienić?

Zszedł na dół, ale nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. James jest u babci. Normalnie w weekendy dokądś się wyprawiali.

Spakował ręcznik i pojechał na uniwersytecką pływalnię, by poprzez wysiłek fizyczny odzyskać wewnętrzną równowagę. Po godzinie wyszedł z basenu. Skonany, ale nie zrelaksowany. Wchodząc do domu, zerknął na telefon. Maria na pewno jest u siebie. Może powinien do niej zadzwonić? Nie. Nie miał jej nic do powiedzenia, wiedział jedynie, że nie chce, aby to się skończyło.

Wypił herbatę i zjadł byle co. Może by poczytać? Otworzył podręcznik ginekologii i położnictwa, po czym zapoznał się z przypadkami, z którymi prawdopodobnie nigdy

nie będzie miał do czynienia. Ale trochę to pomogło. Przez chwilę znowu był lekarzem i nie myślał o swoim życiu prywatnym.

W końcu dopadło go zmęczenie. Miniony dzień był wyczerpujący, ten, w pewnym sensie, nawet trudniejszy. Siedział ze szklanką whisky i rozmyślał o Marii.

Czego od niej oczekuje? Maria jest bardzo atrakcyjna i budzi w nim takie same emocje jak w każdym normalnym mężczyźnie. Jest też doskonałym pracownikiem. Potem przeanalizował swoje postępowanie poprzedniego wieczoru. Przywiózł ją do siebie, kierując się wyłącznie współczuciem, a to, że nie jest amatorem przelotnych romansów, to szczerą prawdą. Czego od niej oczekuje?

Jedno jest pewne. Jego małżeństwo z Jane należało do najszcześniejszych pod słońcem, ale Jane nie żyje. Podobnie jak Marii wydawało mu się kiedyś, że drugi raz nie mógłby znieść podobnej straty, więc postanowił nie angażować się w nic poważnego. Wniosek ten nie był zbyt przyjemny.

Zadumał się. Czy odważy się na drugi związek? Ostatecznie zdecydował, że musi się z Marią spotkać.

Bardzo się zdziwiła, gdy we wtorek wieczorem usłyszała w słuchawce głos Toma. Była zła na siebie o to, że w trakcie rozmowy serce waliło jej jak młotem.

- Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zajęta - mówił. - Potrzebuję twojej pomocy. Muszę jechać z wizytą do pewnej pani, która mieszka sama.

- I chcesz mieć pielęgniarkę pod ręką? W jego głosie wyczuła wahanie.

- Prawdę mówiąc, bardziej przydałaby mi się przyzwoitka. Nie będę jej badał. Przepisałem jej zastępczą kurację hormonalną, bo jest u progu przekwitania. Mieszka sama, ale w trakcie poprzedniej wizyty była dla mnie... podejrzenie miła.

- Nie żartuj.

- Więc jeśli nie masz nic ważnego do roboty, chciałbym, żebyś mi towarzyszyła. Przyjadę po ciebie. I postaram się, żebyś dostała za to pół dnia wolnego.

- Bez przesady. Będę gotowa za pół godziny. Od tamtej pamiętnej nocy upłynęły cztery dni.

W poniedziałek obawiała się spotkania z nim, ale on dołożył starań, by nie stawiać jej w niezręcznej sytuacji. Był dla niej bardzo miły, zapytał, jak goją się zadrapania oraz poinformował, że prawdopodobnie nie będzie musiała zeznawać na policji w sprawie pożaru.

Czasami jednak przyglądał się jej z nieodgadnioną miną. Co się kryje w tym spojrzeniu? Zaduma? Nadzieja?

To zrozumiałe, że po tamtej nocy nic między nimi nie będzie jak dawniej. A to, co było, zostało wyciszone.

Stawił się punktualnie. Niedługo potem znaleźli się w eleganckim mieszkaniu. Drzwi otworzyła im mocno umalowana, bardzo starannie ubrana kobieta, pani Jennings. Nie kryła zdziwienia na widok lekarza i pielęgniarki.

- Nie było potrzeby, by państwo we dwoje się fatygowali - powiedziała rozczerowanym tonem.

Gdy Tom odpowiedział na kilka jej pytań, które z powodzeniem mogła zadać przez telefon, zapadła nieprzyjemna cisza. Już wcześniej oboje podziękowali za drinka. Na odchodnym Maria podała jej swoją wizytówkę.

- Jeśli będzie pani miała jakieś kłopoty, najpierw proszę skontaktować się ze mną, a kiedy zajdzie potrzeba, skieruję panią do pana doktora.

- Cieszę się, że byłaś ze mną - powiedział na schodach. - Może jestem przewrażliwiony, ale po raz pierwszy udało mi się wyjść od niej tak szybko.

- Dokucza jej samotność. Znam te objawy.

- Wiem. - Westchnął. - Proponowałem jej, żeby czymś się zajęła, ale ona nie chce słuchać. Nie ma remedium na samotność. A szkoda.

- Bardzo by się przydało.

Oboje doskonale wiedzieli, że nie jest to rozmowa o pani Jennings. Mówili o sobie. Otworzył jej drzwi samochodu.

- Piękny wieczór, prawda? - rzucił od niechcienia. Wiózł ją do hostelu nieznaną jej drogą. Zorientowała się, że wcale tam nie jada.

- Dokąd mnie wiesz?

- Robimy mały objazd. Zaraz wszystko się wyjaśni. - Wyczuwając w jego głosie napięcie, po raz pierwszy poczuła się nieswojo. Ale to jest Tom Ramsey. Jemu można zaufać.

Gdy się zatrzymał, zorientowała się, że są na promenadzie nad rzeką. Niedaleko stały inne samochody. Noc była pogodna, a rzeka połyskiwała blaskiem księżyca. Na przeciwnym brzegu jarzyły się światła rafinerii, a w tle majaczyły ośnieżone wzgórza Walii.

- Pięknie, prawda? - zapytał po chwili.

- Bajecznie. Po co mnie tu przywiozłeś? - Był wyraźnie zakłopotany, co jeszcze bardziej ją speszyło. - Czy naprawdę była ci potrzebna przyzwoitka, czy był to pretekst, żeby ze mną porozmawiać?

- Przysięgam, że zależało mi na towarzystwie przyzwoitki, a rozmowa z tobą to... premia. Mario, myślę o tym od czterech dni.

- O tym, że byliśmy w łóżku?

- Że się kochaliśmy - poprawił ją. - To duża różnica.

- Kochać... - Westchnęła. - To mnie przeraża. Z powodu mojego synka kojarzy mi się z rozpaczą i stratą.

- Mnie to też przeraża.

Poczuł, że wracają mu siły, że wie, co musi powiedzieć. Pogładził ją po ramieniu.

- Mario, powiem to tylko raz, bo tylko w ten sposób mogę być szczerzy wobec ciebie oraz siebie. Znamy się niedługo, ale jest między nami coś, czego dawno nie zaznałem. Dobrze się rozumiemy, prawda? Ty też na pewno to czujesz.

- Tak, chyba tak - szepnęła.

- Wydaje mi się, że zaczynam cię kochać.

- Tak się nie mówi! To się nie wydaje. Albo kogoś się kocha, albo nie. Nie ma stanu pośredniego między...

- W porządku. Kocham cię. Przez lata unikałem uczuć, nie pozwalałem sobie z nikim się wiązać, bo już raz kochałem, ale potem przyszło niewyobrażalne cierpienie. Mario, myślę, że jeśli się postaramy...

Patrzyła przez szybę na ośnieżone góry. Gdyby tam się znalazła, nie musiałaby się zastanawiać, przeżywać rozterki ani podejmować rozpaczliwych decyzji.

- Tom, ja nie potrafię... Wiem, że tylko ty możesz dać mi szczęście, ale jest jeszcze James. Jemu należy się więcej niż to, na co mnie stać. Kiedy na niego patrzę, widzę tego drugiego Jamesa i serce mi pęka. Tom, musimy się rozstać. I to jak najprędzej.

Spojrzała na jego profil w świetle księżyca.

- To ty podjęłaś tę decyzję - przerwał pełną napięcia ciszę. - Być może jest słuszna, nie wiem. Ale nadal będziemy razem pracować i nadal będziemy się przyjaźnić? To ma dla mnie ogromne znaczenie.

- Nadal będziemy razem pracować i nadal będziemy się przyjaźnić. - To niewiele.

- Już nie będę się z tobą spotykał, bo wynikną z tego dla nas same kłopoty. Wracamy?

- Chyba tak. Nie wiem, co więcej mogłabym powiedzieć. Chociaż bardzo bym chciała.

Patrzył, jak Maria znika za drzwiami hostelu. Westchnął i pojechał do siebie. Co teraz? Nadal będą razem pracowali.

Ona jest profesjonalistką i nie dopuści, by jej emocje kolidowały z pracą. Może najlepiej byłoby o wszystkim zapomnieć? Razem przyjmować pacjentki, ignorując fakt, że poza przychodnią oboje prowadzą osobne życie.

Popełnił błąd. Maria jeszcze nie dojrzała do tego, co miał jej do zaoferowania. Być może sam nie jest na to przygotowany. Śmierć Jane zrujnowała mu życie. Nie chce ryzykować drugi raz. Ale znowu cierpi, ponieważ Maria go odtrąca. Nie cierpi tak bardzo jak wtedy. Na razie. Bo może być gorzej.

Nie chce żyć od jednego emocjonalnego kryzysu do następnego. Podjął ostateczną decyzję. On i Maria już nigdy nie będą kochankami.

Nie zamierzał jednak całkiem usunąć jej ze swojego życia. Powiedziała, że lubi Jamesa. Może w jakiś sposób da się przekonać, że jej smutek jest do pokonania?

Przyjaciołom należy pomagać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie chciała zasnąć, przeczuwając, że znowu dopadnie ją ta sama koszmarowa wizja: mały James w szpitalnym łóżeczku, współczujące spojrzenia lekarzy i pielęgniarek oraz świadomość, że na nic się zdały jej troska i miłość.

Wydarzyło się jednak coś niezwykłego. Gdy rozmyślała o swoim dziecku, jego twarz nagle się zmieniła. To nie była ta sama twarz, którą tak dobrze pamiętała: to była buzia małego Jamesa Ramseya. Otrząsnęła się i wszystko wróciło do normy. Musi być ostrożna. Nie wolno jej z nikim się wiązać.

- Masz gościa - oznajmiła Molly, gdy rano Maria stawiała się w przychodni. - Pamiętasz Tracy McGee? Tę z kolczykami? Przyszła jeszcze przede mną. Wygląda na zmartwioną. Posadziłam ją w świetlicy, podałam herbatę i załatwiłam kanapkę.

- Domyślam się, że dałaś jej swoją - powiedziała Maria. - Zaraz po nią pójde.

Przychodnia zasadniczo nie przyjmowała pacjentek spoza rejonu, ale było wiadomo, że Tom nie odprawi z kwitkiem żadnej ciężarnej.

- Siostrze, chyba tracę dziecko - wyjąkała Tracy. - Krwawię, a to niedobrze, prawda?

- Może nie jest aż tak źle. Chodźmy do gabinetu.

Najpierw cię zbadam, a potem zobaczymy, co da się zrobić. Jesz jak należy? Odżywasz siebie i dziecko? Wysypiasz się? Odstawiłaś... no wiesz?

- Staram się. Ja naprawdę chcę urodzić to dziecko. Nie chcę go stracić.

To już nie była ta sama pewna siebie i harda Tracy, która jakiś czas temu zgłosiła się do przychodni.

Badania i analizy wykazały, że Tracy nadal jest niedożywiona i ma za wysokie ciśnienie, a dziecko jest bardzo

małe. Do tego plamienie. To jeszcze nie krwotok, ale sytuacja jest niepokojąca.

- Masz szczęście, że dzisiaj pan doktor jest na miejscu. Nie protestuj. On musi cię obejrzeć. Trzeba zrobić USG, żeby sprawdzić, czy dziecko jest zdrowe. Będę przy tobie.

- To znaczy, że nie jest źle?

- Niezależnie od tego, co wykaże USG, powinnaś leżeć. Doktor Ramsey zapewne skieruje cię do szpitala.

- Nie chcę leżeć w szpitalu.

- Tracy, może się okazać, że to konieczne. Dla dobra dziecka. - Sięgnęła po telefon. Takie rozwiązanie na pewno ułatwi im pierwszy kontakt po ostatniej rozmowie. - Doktorze, jest pan wolny? Mam tu pacjentkę, której należałoby zrobić USG.

- Już tam idę - powiedział z wyraźną ulgą w głosie. A może tylko jej się tak wydawało?

Gdy stawił się w śnieżnobiałym fartuchu, Tracy do reszty straciła kontenans i już zupełnie nie wiedziała, czy ma się bać, czy być agresywna. Tom błyskawicznie ją rozbroił.

- Tracy, zauważ, że jedyną rzeczą, do której mężczyźni są niezdolni, jest rodzenie dzieci. I dlatego tak bardzo mnie cieszy pomaganie ciężarnym oraz rodzącym. Cieszysz się, że będziesz miała dziecko?

- Oczywiście!

- Ale trochę się denerwujesz? Dziewczyna rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- A pan by się nie denerwował?

- Byłbym przerażony - odparł wesoło. - I chciałbym, żeby mi pomagano. - Zajrzał do notatek Marii.

- Widzę, że siostra już cię zbadła, ale byłbym wdzięczny, gdybyś mi powiedziała, kiedy to plamienie się pojawiło. Potem obejrzymy sobie twojego dzidziusia na monitorze i dopiero wtedy zastanowimy się, co z wami zrobić.

Tracy była już zdecydowanie spokojniejsza. Swobodnie rozmawiała z Tomem, opowiedziała mu, jak mieszka, pożaliła się na chłopaka, któremu nie spieszyło się ze ślubem, na którym jej bardzo zależało.

- Czy twój chłopak też się cieszy, że zostanie ojcem?

Teraz Tracy spochmurniała.

- Jemu zależy tylko na tym, żeby mu się żyło bezproblemowo.

Rozpogodziła się nieco, gdy Tom opowiedział jej, na czym polega badanie ultrasonograficzne, a gdy salowy przywiózł przenośny skaner, bez szemrania poddała się badaniu.

- Dzidzius jest nieduży, a tętno ma prawie dobre - oznajmił. - Ale tak jest w tej chwili. Przyszłaś tu z powodu plamienia. To nie musi być poważny problem, ale może prowadzić do większych komplikacji. Musisz leżeć, być pod stałą opieką. Zadzwońię do szpitala, żeby przygotowano dla ciebie miejsce.

- Nie chcę. Moja mama umarła w szpitalu.

- Jeśli się na to nie zgodzisz, może umrzeć twoje dziecko.

Maria zamknęła oczy. Wiedziała, że Tom użył tak brutalnego argumentu, by dziewczyną wstrząsnąć. Udało mu się. Tracy zbladła.

- Tak pan mówi? - wyszeptała.

- Jeśli teraz położysz się w szpitalu, dasz dziecku wielką szansę. Nie mogę cię zmusić, ale gorąco cię do tego namawiam. Siostra Maria w pełni podziela moje zdanie.

- Zdecydowanie.

- No dobrze. Pójdę do szpitala. Na kilka dni.

- Domyślam się, że nie chcesz jechać karetką, wobec tego proponuję, żeby siostra Maria zawiozła cię swoim autem.

Tracy westchnęła.

- Oddaję się w wasze ręce.

- Jutro późnym popołudniem - powiedział Tom następnego dnia - mam bardzo ważne zebranie w szpitalu. Zostaniesz nieco dłużej? Przyjadą zabawki od Świętego Fillana. Przywiezie je Paul razem z kilkoma kolegami. Twoja obecność przy odbiorze na pewno ich ucieszy.

- Paul jest wyjątkowo sympatyczny. Z przyjemnością go podejmę.

Ucieszyła się na widok Paula. Razem otwierali kartony i sprawdzali ich zawartość. Paul pokazał jej, jak działają bardziej skomplikowane zabawki, a ona oprowadziła go po przedszkolu i przychodni.

- Jeszcze pani nas odwiedzi, prawda? - upewniał się Paul na odjezdnym.

- Oczywiście. Już się cieszę na myśl o tym, że znowu się zobaczymy. I przywiozę doktora Ramseya.

Gdy samochód dostawczy odjechał, zrobiła sobie kawę, usiadła wygodnie i przymknęła oczy. To był bardzo pracowity dzień.

- Śpisz w pracy? Zdaje się, że za bardzo cię wykorzystuję. Zamrugła i otworzyła oczy. W progu stał Tom.

- Nie śpię. - Ziewnęła. - Odpoczywam.

- Nie wątpię. - Uśmiechnął się. - Jak poród?

- Bez problemów. Paul bardzo posmutniał, kiedy mu powiedziałam, że cię nie zastał. Obiecałam mu, że ich odwiedzisz.

- Czemu nie? Moglibyśmy razem złożyć im wizytę.

- Może. Albo sama tam pojedę... Zadzwoił telefon. To dziwne, bo o tej porze przychodnia jest już nieczynna.

- Macie szczęście, że mnie tu zastaliście - usłyszała głos Toma. - Jak poważny jest jej stan? - Podniósł głos. - Jestem jedynym wolnym lekarzem?! Nie, nie, karetka wykluczona. Już do was jadę. Na wszelki wypadek ściągnijcie anestezjologa i przygotujcie salę do zabiegu... Jeszcze jedno,

poszukajcie jakiejś stażystki, która zajmie się moim czteroletnim synem. Przywiozę go ze sobą. Przenocuje w którymś z pokoi dla rodzin. Co?! Wszystkie zajęte?! - Rzucił słuchawkę. - Podobno jestem jedynym lekarzem, który nie jest właśnie chory albo na urlopie - warknął. - Mama wyjechała i jestem sam z Jamesem. Znajdę mu w szpitalu jakieś miejsce do spania. Dlaczego akurat dzisiaj?! - Spojrzał na nią. - A może ty byś się nim zaopiekowała przez tę jedną noc?

- Tom, wiesz przecież, co czuję w obecności dzieci. To nie to samo, co krótka pogawędka w trakcie malowania żabiej twarzy. Będę musiała go nakarmić, wykąpać, przeczytać mu coś na dobranoc i, być może, wstawać do niego, jak się rozplacze. Tom... nie potrafię.

- Już to robiłaś. Opiekowałaś się swoim synkiem.

- I przez cały czas będę go miała przed oczami! Będzie mi się wydawało, że to mój mały James.

- Myślę, Mario, że byś sobie z tym poradziła. Ale cóż, nic mu się nie stanie, jak przenocuje w szpitalu. Do zobaczenia jutro.

Już wychodził, kiedy go zatrzymała.

- Tom, dobrze, zostanę z nim. Faktycznie, to dla mnie nic nowego.

Teraz on miał wątpliwości.

- Zmusiłem cię. Mam wyrzuty sumienia. Nie pomyślałem o twoich...

- Nie trać czasu. Czeka na ciebie pacjentka, której jesteś potrzebny. Daj mi klucze do domu, a sam już jedź do szpitala.

- Ale obiecaj mi, że jeśli coś się stanie, to do mnie zadzwonisz.

- Nic się nie stanie, bez obaw. James i ja umiemy się dogadać.

Tom wrócił w środku nocy. Maria nocowała w pokoju dzieciennym. Najpierw usłyszała szum silnika jego samochodu, potem ciche skrzypnięcie drzwi wejściowych i ostrożne kroki na schodach. Gdy zajrzał do pokoju, udała że śpi, ale gdy się wycofał, poczuła lekki zawód.

Do śniadania zasiedli we troje.

- Jak było? - zapytał Tom.

- Maria przeczytała mi bardzo długą bajkę. Tato, było super. Czy ona jeszcze do nas przyjdzie?

- Być może. Jak czas jej pozwoli.

- Myślę, że jeśli ktoś ładnie mnie poprosi - odezwała się - to ten czas się znajdzie. James, ja też uważam, że to był bardzo przyjemny wieczór. - Mówiąc to, patrzyła na Toma, by mieć pewność, że właściwie odebrał tę informację.

- Obyło się bez problemów? - zapytał pozornie swobodnym tonem.

- Chwilę trwało, zanim sobie przypomniałam, jak to się robi, ale potem już poszło jak z płatka.

- To dobrze. Mamy jeszcze dwadzieścia minut. James, wyjątkowo możesz obejrzeć kreskówkę na wideo.

- O piratach! - Chłopiec wypadł z kuchni jak burza.

Teraz mogła mówić otwarcie.

- Na początku było mi bardzo trudno. Kilka razy o mało się nie rozplakałam, ale potem złapałam rytm i już było dobrze.

- Ale to nie jest to, co chciałabyś robić codziennie?

Musi być szczerza.

- Nie, jeszcze nie. Chwilami to był potworny stres.

- Chwilami - powtórzył jak echo. - Na początku. Co myślisz o tym, żebyśmy od czasu do czasu gdzieś się wybrali? We troje.

- Dobrze - odparła z pewnym wahaniem. - Z tym sobie poradzę. A nawet myślę, że by mi to bardzo odpowiadało. -

Zmieniła temat, - A jak ten przypadek, do którego cię wezwano? Dobrze się skończyło?

- Happy endem. Sprawa była prosta, ale mogła mieć poważne konsekwencje. Nikt nie mógł dojść, o co chodzi, ale w końcu znaleźliśmy przyczynę. Pacjentka przeżyje.

- Jesteś zadowolony?

- Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo. No, pora jechać do pracy.

W nocy Tom leżał w łóżku, wpatrywał się w ciemność i rozmyślał o Marii.

Udało się im nawiązać nowy, trochę dziwny układ. Nadal się lubili, a wzajemne towarzystwo sprawiało im przyjemność. Pracowali razem. Czuł też, że pomógł jej choć trochę przemóc dręczący ją smutek.

Czy jest szansa, by było jak przedtem? Tak jak tamtej niezwykłej nocy? To chyba niemożliwe. Z tego wniosek, że należy utrzymywać dystans, zapomnieć o wizji wspólnej przyszłości, która wydawała mu się taka obiecująca, i zadowolić się tym, co jest.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Koło południa w poniedziałek zajrzał do jej pokoju. Siedziała przy biurku pochylona nad dokumentami, które musi wypełniać każda położna. Gdy na niego popatrzyła, wydał się jej onieśmielony.

- Jedno pytanie - zaczął. - Nie musisz odpowiadać od razu, najpierw się zastanów. W Ellesmere jest coś, co nazywa się „Niebieska Planeta”, coś w rodzaju oceanarium. James od paru tygodni wierci mi dziurę w brzuchu, żebym go tam zabrał. Obiecałem mu, że pojedziemy w ten weekend.

- Też słyszałam o tym akwarium. Podobno bardzo ciekawe. Na pewno wam się spodoba. Ale o co chciałeś zapytać?

- James chce cię poprosić, żebyś z nami pojechała. Pomyślałem, że powinienem cię o tym uprzedzić, dać ci możliwość zastanowienia się nad odpowiedzią.

- Tydzień temu bym powiedziała „nie” - przyznała się. - Bałabym się takiej wyprawy z małym chłopcem. Ale coś się we mnie zmienia. Myślę, że chętnie się z wami zabiorę.

- Super. Powiem mu, że może do ciebie przyjść w porze lunchu i osobiście cię zaprosić.

- Ale czy ty też chcesz, żebym wam towarzyszyła?

- Jasne. Twoja obecność sprawi przyjemność nam obu.

Była to bardzo dyplomatyczna odpowiedź, ale ona wiedziała, co Tom ma na myśli. Nie była to z jego strony żadna seksualna aluzja. No cóż, sama tego chciała.

- Będę na niego czekała w porze lunchu. Z przyjemnością z nim chwilę porozmawiam.

Przez moment w milczeniu się jej przyglądał.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przez chwilę.

- W porządku. - Wyszedł z pokoju.

Sytuacja wydała się jej trochę niezręczna. Tak powstaje nowy układ, owszem, oparty na bliskości, ale pozbawiony elementu erotycznego. Jednak jakiś wewnętrzny głos wytykał jej, że to nie jest to, o co jej chodzi.

Jakiś czas później do jej pokoju zapukał James. Przyniósł ze sobą folder poświęcony „Niebieskiej Planecie”. Obejrzeni go razem i razem ustalili, co chcą obejrzeć.

- Ale te rekiny nie rzucą się na nas? - zapytał James z powagą. - Bo mogłyby nas zagryźć.

- One stamtąd nie wyskoczą - zapewniła go. - Ale jest tam też basen, w którym zanurza się ręce i dotyka niektórych morskich stworzeń.

- Czy w nim też są rekiny?

- Nie, w tym basenie ich nie ma.

- Tata powiedział, że tam jest takie miejsce, gdzie dają sandwicze i koktajle mleczne.

- Ja też lubię takie koktajle.

I tak sprawa została załatwiona.

Wyprawa do oceanarium zrobiła na Jamesie wielkie wrażenie. Podobnie zresztą jak na Marii. W jednym z basenów dotykali ukwiałów i jeżowców, gdzie indziej oglądali nurków, którzy pod wodą karmili ryby i nawet machali rękami do stojących za szybą zwiedzających. Przez środek największego akwarium prowadził oszklony tunel, gdzie stawało się oko w oko z morskimi stworzeniami. Ilekroć podpływał do nich rekin, James mocno ścisnął jej rękę. Odwzajemniała ten uścisk, mimo że niechętnie przyznawała się przed sobą do emocji, które wówczas czuła. Każde kolejne spotkanie z małym Jamesem dawało jej więcej radości niż poprzednie.

Potem poszli coś zjeść: James dostał wymarzone sandwicze oraz koktajl mleczny, a dorośli zamówili kawę. James rwał się do kolorowania nowej książeczki, ale

wytłumaczyli mu, że w domu będzie mu wygodniej. Chłopiec nie posiadał się z radości.

- Było super, prawda? - zwrócił się do niej. - Byłaś już w takim akwarium?

- Tak, byłam. Na wyspie, która się nazywa Majorka. Zamiast rekinów były tam delfiny, które ciągle wyskakiwały z wody. Tam też było pięknie. Potem poszliśmy do ogrodu, który nazywał się „Zielony Świat”, I tam były węże.

James aż się otrząsnął.

- Nie lubię węży. Teraz trochę polubiłem rekiny, ale węży się boję. Sama tam byłaś?

Siedziała obok Toma. Nawet na niego nie patrząc, poczuła, że zeszywniał.

- James, zjadaj tę kanapkę - mruknął. - Nie zamęczaj Marii. Ona chce...

- Byłam tam z małym chłopcem, który tak jak ty miał na imię James. Bardzo się nam tam podobało.

- Aha. Ale ja nie lubię węży.

Uniosła wysoko głowę i spojrzała na Toma. W jego oczach wyczytała niepokój.

- Byłam tam z Jamesem i pamiętam, że była to fantastyczna wycieczka.

Tom przykrył dłonią jej rękę.

- Najtrudniej jest wspominać dobre chwile, oddzielając je od smutku, który spadł na nas później

- powiedział. - To przychodzi z czasem, ale bardzo, bardzo powoli.

- Jestem tego bliska. I dzieje się to całkiem szybko.

Odwiózł ją do hostelu. Wsiadając, pocałowała Jamesa na pożegnanie. Tom również wysiadł. Było już ciemno, więc nie widziała wyrazu jego twarzy.

- Podobało ci się? - zapytał.

- Było fantastycznie. Na początku miałam różne zastrzeżenia, ale James jest taki sympatyczny... Ten wypad sprawił mi dużą przyjemność.

- James jest sympatyczny! A ja?

- Twoje towarzystwo odpowiada mi najbardziej. Czuję, że jesteś przyjazną duszą. - Pocałowała go, po czym szybko odwróciła głowę, by się nie zorientował, co ona czuje. Pragnęła go całym ciałem, ale się umówili, że to już się nie powtórzy. - Dobranoc, Tom. I jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

- Ty mnie? To ja tobie powinienem dziękować.

- Dziękuję ci za to, że uszanowałeś naszą umowę - rzekła wbrew sobie. - Że jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Tak. Nikim więcej. Tak zdecydowaliśmy. Dobranoc, Mario. - Wsiadł do auta.

Westchnęła. Dlaczego ona tak często mówi nie to, co trzeba?

Trzy dni później, w trakcie dyżuru, zadzwoniła do niej matka Toma. Na samym wstępie poprosiła, by Maria zwracała się do niej po imieniu.

- Mów mi Kate. Chciałam cię zaprosić w ten weekend na urodzinowe przyjęcie Jamesa. Mam nadzieję, że nie masz innych planów. Ostatnio często się widujecie. Przyznam, że przydałaby mi się twoja pomoc... Poza tym James bardzo cię lubi.

- Oczywiście, że przyjdę, i z przyjemnością ci pomogę. Pytałaś Toma, czy on chce mnie zaprosić?

- Nie pytałam, po prostu mu to oznajmiłam, na co mi odpowiedział, że James bardzo chce, żebyś przyszła.

Może warto wystawić się na taką próbę?

- Mam doświadczenie w organizowaniu imprez dla dzieci - odpowiedziała po chwili. - Należało to do moich obowiązków służbowych. Przyjdę wcześniej i ci pomogę.

- Będę ci dozgonnie wdzięczna. Ale ty tak ciężko pracujesz... Masz na to ochotę?

- Oczywiście. Jestem tego pewna.

W sobotę przyjechała do Toma wczesnym popołudniem, trzy godziny przed przyjęciem. Cieszyła ją perspektywa zajęcia się tym, czego dawno już nie robiła. Gdy wraz z Kate z zapalem omawiały urodzinowe menu oraz atrakcje, Tom sprawiał wrażenie lekko zde gustowanego. O czwartej sytuacja poważnie się skomplikowała. Toma wezwano niespodziewanie do szpitala, ponieważ lekarz dyżurujący był zajęty przy operacji.

- Nie chcę wyjeżdżać - żalił się. - Uważam, że ojciec powinien być obecny na urodzinowym przyjęciu syna.

- Jeśli tam nie pojedziesz, jakiś inny chłopiec może nie dożyć do swoich urodzin - zauważyła Maria. - Jamesowi na pewno będzie cię brakowało, ale zadbamy, żeby się dobrze bawił.

- Nie ma rady, jadę - westchnął.

Przyjęcie bardzo się udało. Maria szybko przypomniała sobie, jak zachęcić do zabawy nieśmiałe dziecko, jak poskromić to rozbrykane. Wyczuwała, ile powinna trwać każda gra, pamiętała o nagrodach dla każdego uczestnika. A gdy coś się wylało, sprawnie ścierała plamę, jednocześnie pocieszając zawstydzonego sprawcę. Pod koniec przyjęcia była nie mniej wyczerpana niż goście Jamesa.

- Jest pani prawdziwym ekspertem - rzekła z uznaniem jedna z matek. - Czy to jest pani główne zajęcie? Bardzo bym chciała, żeby i u mnie zorganizowała pani taki wspaniały kinderbal. Znam jeszcze kilka innych osób, które chętnie by panią zatrudniły.

Maria pokręciła głową.

- Pochlebia mi pani, ale jestem położną i w weekendy na nic nie mam siły.

- Szkoda. - Kobieta przyjrzała się jej uważnie. - Czy to pani jest położną doktora Ramseya?

- Pracujemy w tej samej przychodni.

- Szczęściarz z niego. Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, z jakim skarbem ma do czynienia.

Maria puściła tę uwagę mimo uszu.

Gdy Maria i Kate piły zasłużoną herbatę, James oglądał na wideo jedną z kaset, które dostał w prezencie. W pewnej chwili zauważyły, że głowa mu opada.

- Zabierz go już na górę i zapędź do wanny, a ja przez ten czas zrobię porządek w kuchni - powiedziała Maria. - Kate, nie protestuj, poradzę sobie.

Jakiś czas później Kate zeszła do wysprzątanej kuchni.

- Będzie z ciebie wzorowa żona i matka - zauważyła.

Tom nie wracał, więc wypiwszy wraz z Kate po kieliszku wina, Maria pojechała do domu.

Po drodze zastanawiała się nad słowami Kate. Była to oczywista aluzja, sygnał, że Kate nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby ona i Tom... Ze smutkiem przyznała się przed sobą, że bardzo odpowiadała jej rola zastępczej mamy. Ale o roli żony wolą nie myśleć.

Kilka dni później zaszła do przedszkola, by pokazać June, jak maluje się twarze. Przedszkolanka przyniosła aparat fotograficzny i robiła dzieciom zdjęcia.

Gdy Maria nakładała jednej z dziewczynek złotą i czarną farbę, zamieniając ją w tygrysa, usłyszała za plecami męski głos:

- Ojej, do mojej przychodni zakradł się groźny drapieżnik.

Mała Emily zachichotała wesoło, Marię za to zalała fala mieszanych uczuć: radości i lęku. Czego on od niej chce?

Tom przykucnął przed dziewczynką.

- Em, potrafisz ryczeć jak tygrys? - zapytał. Oczywiście, że umiała. Maria namalowała ostatnią złocistą linię na policzku dziewczynki.

- Skończone. Idź przejrzeć się w lustrze. Emily popędziła rozradowana do koleżanek i kolegów.

- Widzę, że pokaz się udał - powiedział Tom. - I ty też wyglądasz na zadowoloną.

Czy ta uwaga była kąśliwa? - pomyślała Maria. Do Emily przemawiał zdecydowanie innym tonem. Co go tak rozdrażniło?

- Wpadłam tu tylko na godzinę. Zaraz wracam do pracy.

- Mam nadzieję. - Ściągnął brwi. - James mnie zapytał, czy pozwolę mu pójść z tobą na przedstawienie kukiełkowe.

- Tak, zaprosiłam go. Przepraszam, wiem, że powinnam najpierw porozumieć się z tobą. Przedstawienie odbędzie się w szpitalu, na jednym z oddziałów dziecięcych w piątek po południu. Pomyślałam, że James mógłby je obejrzeć. Oczywiście pod warunkiem, że nie masz nic przeciwko temu.

- Nie miałem innych planów. Jasne, niech idzie. Ale nie pójdę z wami. Mam wtedy przychodnię.

- Wiem.

- Zatem wszystko już się wyjaśniło. Dziękuję za to, co dla niego robisz. On potrafi to docenić.

Wyszedł.

Patrzyła za nim. James ją docenia, ale jego ojciec jest od tego daleki. Potraktował ją wyjątkowo oschle. Może to najlepsze rozwiązanie? Umówili się przecież, że będą tylko przyjaciółmi, a nawiązywanie do tego, co było, do niczego dobrego nie doprowadzi. Uświadomiła sobie, że Tom wybrał dystans jako najlepszy sposób zapanowania nad tą sytuacją.

Siedział przy biurku pogrążony w myślach. Jak zwykle zostawił uchylone drzwi, by widząc go, personel czuł, że szef stale jest członkiem zespołu. Teraz jednak czekał na Marię.

Wiedział, że za minutę lub dwie będzie szła korytarzem. Jej widok sprawiał mu przyjemność.

Jakiś czas temu był gotowy zaryzykować, zaproponować jej coś... Nie bardzo wiedział co, ale w jego mniemaniu łączyło się to z ogromnym ryzykiem. Nawet użył słowa „miłość”, mimo że nim nie szafował. Wydawało mu się, właściwie był tego absolutnie pewny, że Maria odwzajemnia to uczucie, bo nikt by nie potrafił udawać tego, co wspólnie przeżyli.

Ale potem go odtrąciła. Bardzo go to zabolalo. Nie zamierzał drugi raz tak cierpieć. Powiedziała, że nie chce się angażować, ponieważ nie potrafi zaakceptować małego dziecka. Miał wrażenie, że ją rozumie i starał się jej pomóc. Chyba mu się to udało. Czy na pewno?

Może ten lęk przed dziećmi jest tylko wymówką? Może ona nic do niego nie czuje?

Westchnął. Może żyło mu się wygodniej, zanim ją poznał? Pojawiła się w jego życiu nagle jako szansa na szczęście, o którym myślał już, że nie jest mu pisane. Ale ta szansa się nie ziści. Maria jest dla niego tylko współpracownikiem.

Kolejny tydzień był dla niej bardzo trudny. Tom zachowywał się z coraz większą rezerwą. Nie było już miejsca nawet na niewinne żarty. Tak, przez chwilę myślała, że mogłaby się z nim związać, ale to już stało się nieaktualne. Może do tego nie dojrzał? Szkoda.

Sytuację pogarszał fakt, że coraz bardziej przywiązywała się do małego Jamesa. Chłopiec często odwiedzał ją w porze lunchu. Tom raz wszedł do jej pokoju, akurat gdy przyklejali na ścianie jakiś rysunek, i pouczył synka, by nie przeszkadzał jej w pracy ani za bardzo nie zawracał jej głowy. James o mało się nie popłakał, a ona za wszelką cenę starała się go przekonać, że zawsze jest mile widziany. Zachodziła w głowę, co kryje się za postawą Toma.

Pewnego ranka, zanim otworzyła przychodnię, Tom zaprosił ją do siebie na krótką naradę.

Odezwał się zasadniczym, wręcz oschłym tonem. Skoro on tego chce, nie będę się sprzeciwiać, pomyślała.

- Mamy problem - powiedział. - Z Tracy McGee.

- Myślałam, że nic złego się nie dzieje.

- Tak było do niedawna, ale sytuacja nagle się zmieniła. Przed chwilą miałem telefon ze szpitala. Dowiedziałem się, że Tracy dogadała się z kilkoma pielęgniarkami i wszystko szło ku dobremu. Nawet zgodziła się porozmawiać z terapeutą od uzależnień. Ale zjawił się jej partner, zrobił karczemną awanturę i kazał jej się wypisać.

- Zwariowała! Już do niej jadę! Pokręcił głową.

- To nie jest dobry pomysł. Pielęgniarki uważają, że ona już wie, jak ma dbać o siebie. W tej chwili jej ani dziecku nic nie zagraża. Obawiam się, że twoja wizyta mogłaby sytuację od nowa zaognić. Co ty o tym myślisz?

Najchętniej natychmiast pojechałaby do mieszkania Tracy i przemówiła jej do rozumu. Ale czy to by w czymkolwiek pomogło?

- No cóż, chyba masz rację. Pozostaje nam jedynie mieć nadzieję, że Tracy wykaże się zdrowym rozsądkiem.

- Nie sądzisz, że najtrudniej jest siedzieć z założonymi rękami i czekać? Ja tak nie potrafię. - Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Teraz już nie rozmawiamy o Tracy, prawda? - zapytała.

- Teraz chodzi o nas. - Uśmiechnęła się blado. - Tom, tak jest dobrze. Dzięki tobie jestem o wiele szczęśliwsza, ponieważ pokazałeś mi, że potrafię nawiązać kontakt z dziećmi.

- Szczęśliwsza to nie to samo co szczęśliwa - zauważył. - Dalej prześladowają cię koszmary?

- Dwa dni temu miałam przykry sen, ale to nic w porównaniu z tym, co śniło mi się dawniej. Tom, czuję, że coś jeszcze chcesz mi powiedzieć.

Speszył się.

- Owszem. Za tydzień zaczynam tygodniowy urlop. Zamierzałem z Jamesem i matką spędzić go nad Morzem Śródziemnym, ale moja siostra, Amy, która mieszka w Australii, właśnie urodziła pierwsze dziecko, trochę przed czasem, i matka postanowiła jak najszybciej ją odwiedzić. W związku z tym z nami nie poleci.

- Za to zobaczy córkę, wnuczka i zwiedzi Australię - powiedziała, nie kryjąc uśmiechu.

- To prawda. Cieszę się z tego, bo uważam, że ma zdecydowanie za mało przyjemności.

Zaintrygowana zastanawiała się, o co mu chodzi.

- Czeka na nią pokój w hotelu. Pomyślałem, że ty mogłabyś w nim zamieszkać. Polecieć ze mną i Jamesem.

- Słucham?! - Tego się nie spodziewała.

- Zanim odpowiesz, czuję się w obowiązku ostrzec cię, że lecimy na Majorkę. To może być dla ciebie przykre. Ale sama mi powiedziałaś, że nie miałaś urlopu od czterech lat. Uważam, że wakacje ci się należą.

- Mam z wami polecieć na Majorkę?

- Dlaczego nie?

- Nie wiem, jak będę się tam czuła. Tam umarł mój synek. Dlaczego taki pomysł przyszedł ci do głowy?

- Może powinnaś tam wrócić? - Zamyślił się na chwilę. - W studenckich czasach, kiedy byłem młody i głupi, zapisałem się na kurs wspinaczkowy. Bardzo mi się to podobało i byłem całkiem niezły. Ale za którymś razem przeszarżowałem i odpadłem od ściany. Nie zleciałem z wysoka, co najwyżej z dziesięciu metrów. Mimo to niezłe się przestraszyłem.

- Wcale ci się nie dziwię. - Po co on mi o tym opowiada?

- Instruktor zszedł do mnie, obejrzał, stwierdził, że nic mi się nie stało, i polecił, żebym znowu wspiął się na tę samą ścianę. A ja nie chciałem. Tłumaczył mi, że jutro będzie mi jeszcze trudniej, a za tydzień stanie się to niewykonalne. Byłem roztrzęsiony i przerażony, ale go posłuchałem. Strach zniknął.

- Stąd nauka, że należy przełamywać swoje słabości - stwierdziła. - Ale jest pewna różnica między śmiercią dziecka a lekkim wypadkiem.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale zasada jest ta sama. Mario, pojedziesz z nami?

To jest całkiem sensowna propozycja, pomyślała, ale jej odpowiedź brzmiała inaczej.

- Jest też drugi powód, dla którego nie powinnam z wami jechać. Z Jamesem już doskonale się dogaduję. A z tobą?

- Zawarliśmy porozumienie - odparł cicho. - Okrutne, ale chyba skuteczne. Uważam, że pobyt na Majorce dobrze ci zrobi i myślę, że razem będziemy się świetnie bawić.

Z trudem zbierała myśli. Ten niepokojący mężczyzna przysporzył jej dotychczas sporo smutku... ale też i radości.

- Zgoda, jadę z wami. Ale pod warunkiem, że zapłacę.

- Mario, nie denerwuj mnie! Przelot i hotel już są zapłacone. Zwrotów nie ma. Poza tym nie mam w zwyczaju robić interesów kosztem przyjaciół.

- Dobrze, jadę. Musisz jednak dać mi szansę rewanżu.

- Postaram się coś wymyślić.

Reszta przedpołudnia upłynęła jej na spotkaniach z młodymi matkami, które dwadzieścia osiem dni po porodzie po raz ostatni były umówione w przychodni. Od tej pory opiekę nad ich dziećmi przejmowały pielęgniarki pediatryczne.

Miriam Allardyce przyjechała z malutkim Michaeliem. Maria zbadała matkę oraz dziecko, zadała kilka pytań, by

upewnić się, że kobieta daje sobie radę, a na koniec zapytała, czy dobrze sypia.

- Oj, fatalnie. Michael nie jest uciążliwy, zasypia bardzo szybko, za to ja, jak się raz obudzę, to już nie mogę zasnąć.

- Może mąż mógłby panią zastąpić?

- On robi wszystko, o co go poproszę. Jest wprost cudowny. Ale ja i tak nie mogę zasnąć. Od lat mam kłopoty z zasypianiem, ale ostatnio jest po prostu tragicznie.

- Karmi pani teraz piersią, więc środki nasenne są niedopuszczalne. Wiele kobiet ma problemy ze spaniem. Proponuję, żeby raz w tygodniu mąż czuwał przy dziecku, a pani spała wtedy w pokoju, do którego nie dochodzą żadne hałasy. Niech mąż zrobi pani masaż i nastawi spokojną muzykę. Na przykład to. - Wyjęła z szuflady płytę kompaktową. - To taka hipnotyczna kombinacja słów i muzyki. Kilku mamom bardzo to pomogło.

- Może i mnie pomoże? - rzekła pacjentka z nadzieją w głosie.

Reszta dnia była do tego stopnia pracowita, że Maria nie miała czasu zadrećcać się obawami związanymi z zaskakującą propozycją wspólnego urlopu. Myśli te jednak ją dopadły, gdy ostatnia pacjentka wyszła z gabinetu. Powrót do miejsca, gdzie jej synek zachorował i umarł, może nie być łatwy, ale opowieść Toma o jego upadku przekonała ją, że wyjazd na Majorcę może jej pomóc. Ale jak ułożą się jej stosunki z Tomem?

W piątek skończyła pracę nieco wcześniej. Było jeszcze jasno, gdy wyszła na parking. Tam czekał na nią Tom. W ręce trzymał piękną wiązanek fioletowych, białych i niebieskich kwiatów.

- Życzę ci udanej konferencji - powiedziała. - I do zobaczenia za tydzień. Kwiaty dla mamy? Piękne.

Uśmiechnął się, kręcąc głową.

- Nie dla mamy, tylko dla Jane. To jej ulubione kolory. Wrzucę je do morza, tam, gdzie rozsypałem jej prochy. Ona kochała morze. - Następne zdanie do głębi nią wstrząsnęło. - Czekałem na ciebie. Pojedziesz ze mną nad morze?

- Oczywiście - odparła z pewnym wahaniem. - Jeśli tego sobie życzysz.

- Tak, tego sobie życzę.

Za miastem skręcili w wąską drogę przez sosnowy las. Tom zaparkował pod wydumą, po czym oboje wspięli się na nią. Z góry roztaczał się widok na plażę i szary bezkres morza.

Tom roześmiał się.

- Sprawdziłem porę przyptywów i odpływów. Teraz jest przyptyw. Podczas odpływu musielibyśmy iść ze dwa kilometry, żeby dotrzeć do wody.

- Ty żartujesz - powiedziała, nie kryjąc zdziwienia. - Sądziłam, że to będzie smutna okazja.

- Chcę patrzeć w przyszłość, a nie wstecz. Pospieszmy się, bo za chwilę się ściemni i tu utkniemy.

Wziął ją za rękę i sprowadził na plażę aż na sam brzeg. Przystanęli w mokrym piasku. Tom zdjął z kwiatów przezroczyście opakowanie i jeden po drugim rzucał je do wody. Maria patrzyła, jak kołyszą się na falach.

Przeniosła wzrok na Toma. Spodziewała się ujrzeć smutek na jego twarzy, może nawet złość, ale dostrzegła tylko błogi spokój. Rzucił ostatni kwiat, wepchnął opakowanie do kieszeni, po czym znowu ujął ją za rękę i bez słowa wpatrywał się w morze. Powinna coś powiedzieć.

- Tom... nie rozumiem cię - zaczęła. - Przyszedłeś tu, żeby oddać hołd życiu, które kiedyś było twoim udziałem. Rzuciłeś do morza kwiaty. To piękny odruch, ale zaraz potem wzięłeś mnie za rękę. Tom, jestem kobietą, a ty mężczyzną. Taki gest ma emocjonalne i erotyczne podteksty. Nie wypada...

- „Oddać hołd życiu”, ładnie to ujęłaś. Tak, to właśnie chciałem zrobić. Już nie chcę oplakiwać straty. Czuję, że mam to za sobą. Może się to wydawać niezrozumiałe, prawdę mówiąc, sam nie bardzo rozumiem, co mną kieruje. Ale bardzo chciałem, żebyś tu ze mną była i pragnąłem trzymać cię za rękę.

Przestała cokolwiek rozumieć. Ta scena ją przerosła.

- Miło mi - bąknęła. - Chodźmy, bo robi się ciemno.

Wrócili do samochodu. Po drodze Maria zastanawiała się, ile może się zmienić w tak krótkim czasie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Informacją o wyjeździe na Majorkę podzieliła się tylko z Jenny.

- Co ty sama o tym myślisz? - zapytała ją przyjaciółka.

- Trochę się boję - wyznała. - Nie wiem, dlaczego mi to zaproponował ani dlaczego przyjął to zaproszenie. Poza tym boję się wspomnień.

- Ze wspomnieniami sobie poradzisz - zapewniła ją Jenny. - Podejrzewam, że chodzi o coś innego. On zapewne sam nie zdaje sobie z tego sprawy, ale przypuszczam, że ta wycieczka ma w równej mierze pomóc jemu, co tobie.

- Co ty mówisz?! On po prostu jest dla mnie dobry.

- Sobie też chce pomóc, ale o tym nie wie. Usiłuje rozpocząć nowe życie.

- To nie jest wykluczone - powiedziała Maria w zadumie.

- Jaka w tym moja rola?

- Co do niego czujesz? Kochasz go?

Bała się zadać sobie to pytanie, ale skoro Jenny je postawiła, musi dać jej jakąś odpowiedź.

- Jest dobrym lekarzem, lubię z nim pracować, ma dobre serce, jest troskliwy, delikatny... Bardzo mi pomógł.

- Jest też bardzo przystojny - wtrąciła Jenny, szeroko się uśmiechając. - Sama bym się nim zainteresowała, gdybym nie miała Mike'a. Mario, powiedz, kochasz go?

- Chyba tak. Ale się boję. Powiedziałam mu, że... do niczego między nami nie dojdzie.

- To niedobrze. Ale masz do tego prawo i w każdej chwili możesz zmienić zdanie. Co zamierzasz?

- Nie wiem. Przez chwilę byliśmy sobie bardzo bliscy, ale teraz on trzyma się ode mnie z daleka. Może jeszcze nie dojrzał do takiego związku?

- Dojrzał, dojrzał... Niezależnie od tego, czy jest tego świadomy czy nie. - Jenny pocałowała ją w policzek. - Powodzenia.

Nagle czas się cofnął. Znowu znalazła się na lotnisku w towarzystwie rozgorączkowanego chłopczyka. Czekanie na lotnisku bywa denerwujące, ale we troje czas mijał im szybko. To nie było trudne.

- Poznaję dzisiaj nową twarz Marii - oświadczył Tom. - Wiedziałem, że jesteś świetną położną, ale widzę, że byłaby z ciebie doskonała opiekunka do dzieci.

- Przez kilka lat nie robiłam nic innego. I bardzo to lubiłam. Dopóki mój James...

- Teraz też sprawia ci to radość. Tak trzymaj. Była to święta prawda. Aż dziwne, ile wspomnień stłumiła. Wędrując z Jamesem po terminalu, przypomniała sobie, jak wyruszała do nowej pracy. Wróciło tamto podniecenie. W ogromnej mierze były to radosne wspomnienia, które wyrzuciła z pamięci. Nadeszła pora zmiany.

Wzywano ich do samolotu. Maria czuła, że jest nie mniej podekscytowana niż James. Przez minione cztery lata nie była za granicą ani nie leciała samolotem. Gdy zapinała pasy, zauważyła, że drżą jej palce. Tom najwyraźniej wyczuł jej nastrój.

- Denerwujesz się? - zapytał. - Taki doświadczony oblatywacz samolotów?

- Trochę, ale cieszę się, że znowu znajdę się w chmurach.

Samolot przy akompaniamencie ryku silników kołował na płycie. Teraz już nie może się rozmyślić. Wyrusza ku... ku czemu?

James siedział przy oknie, więc gdy lądowali, pochyliła się nad nim.

- To jest Palma, stolica Majorki. Popatrz na te wiatraki! Pompują wodę z podziemnych strumieni.

W pewnej chwili gwałtownie się wyprostowała.

- Wspomnienia? - zaniepokoił się Tom.

- Tak, wracają. Czy wiesz, że pierwszy raz od czterech lat jestem za granicą?

- Domyślam się. Ale większość to dobre wspomnienia, prawda? Byłaś tu szczęśliwa?

- Tak. - Zdziwiła ją ta odpowiedź. - Tak, byłam tu szczęśliwa. I pracodawca bardzo mnie cenił.

Pogłodził ją po ręce.

- Tylko sobie nie wyobrażaj, że do niego wrócisz. Jesteś mi potrzebna, bo drugiej takiej położnej nie ma w całym szpitalu.

Nic więcej?

Samolot się zakołysał, zgasły silniki. Oto znowu znalazła się na Majorce. Wylatując stąd, nie podejrzewała, że kiedykolwiek tutaj wróci.

Teraz panowała tu zima. Budynki wydawały jej się znajome, ale pogoda była inna. Hala terminalu świeciła pustkami, a większość pasażerów wyglądała na emerytów, którzy w porze zimowej korzystają ze znacznych obniżek cen wycieczek i biletów.

Wzięli swoje bagaże i wyszli przed budynek w poszukiwaniu autokaru, który miał zawieźć ich do hotelu. Po drugiej stronie ulicy Maria dostrzegła czerwono - szary autokar należący do hotelu „Helena”, w którym kiedyś mieszkała. W ich autokarze powitała ich hostessa w mundurku podobnym do tego, jaki ona sama kiedyś nosiła.

- Jak się czujesz? - zatroskał się Tom.

- Dziwnie. Z trudem do mnie dociera, że nie było mnie tu przez całe cztery lata. Wydaje mi się, że jestem kimś innym.

- Przejdzie ci.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona. Od czterech lat nie miała wakacji z prawdziwego

zdarzenia, kiedy o nic nie trzeba się troszczyć, bo od tego są inni. Musi się z tym oswoić. Ale Majorka jak zwykle działa cuda.

Tom zarezerwował pokoje w dobrym hotelu, kilka kilometrów od miejsca, w którym mieszkała poprzednio. Z jej pokoju rozciągał się bajeczny widok na morze; jedzenie i obsługa były wyśmienite, mimo że przyjechali tu poza sezonem.

Przepadała za Jamesem, ale nie miała pojęcia, jak ułożą się jej stosunki z Tomem. Był dla niej uprzejmy, lecz zachowywał dystans. W dalszym ciągu coś ich dzieliło. Czuła się nieswojo, mówiąc mu wieczorem „dobranoc” i spotykając go kilka godzin później, rano przy śniadaniu.

Delikatnie dał jej też do zrozumienia, że chociaż przyjechali razem, nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zechce mieć czas tylko dla siebie.

- Wolę być z wami - odrzekła. - Pod warunkiem że odpowiada wam moje towarzystwo.

- Jasne, że nam odpowiada. - Uśmiechnął się, po czym wszystko popsuł, dodając: - Twoja znajomość tej wyspy jest na wagę złota.

Wynajęła samochód i obwiozła ich po najciekawszych miejscach. W pewnej chwili poczuła, że jest zadowolona, że odpoczywa oraz że Tom jest coraz bardziej zrelaksowany.

Trzeciego dnia pojechała ulicą wzdłuż brzegu, by zatrzymać się przed dużym hotelem.

- Wejdźmy tu na kawę. - Zorientowała się, że jej głos lekko drży.

Tom przeczytał nazwę hotelu: „Helena”.

- Tu mieszkałaś - zauważył. - Na pewno chcesz wejść?

- Tak. Tom, przeżyłam tu wiele przyjemnych chwil. Prawdę mówiąc, wszystko, co do tej pory widziałam, przypominało mi wyłącznie dobre czasy.

- To świetnie.

Był zadowolony, a mimo to w jego głosie zadźwięczało wahanie.

Zamówili kawę, a James sok pomarańczowy. Marię czekało tu kolejne mocne przeżycie: rozpoznał ją jeden z portierów. Kilkuminutowa rozmowa z nim sprawiła, że Maria poczuła się jeszcze lepiej.

Skończywszy sok, James zapytał:

- Tato, tutaj jest w dechę plac zabaw. Mogę iść się pobujać na huśtawkach?

- Nie teraz - odparł Tom, spoglądając na Marię.

- Tom, tam leżą angielskie gazety - powiedziała. - Poczytaj sobie, a ja z nim pójdę. Poradzę sobie. - Miała nadzieję, że to prawda. - James, idziemy.

Tom z mieszanymi uczuciami patrzył, jak odchodzą, trzymając się za ręce. Już wcześniej pogodził się z myślą, że Maria może zostać jego przyjaciółką, ale nie ukochaną. Przez chwilę czuł taką pokusę. Spali ze sobą, ale zaraz potem stanowczo oświadczyła, że na tym ich zażyłość się kończy. Spróbował jeszcze raz, powtórzył to pytanie, wtedy, na promenadzie, ale bez rezultatu. Przez kilka następnych dni zastanawiał się, czy ona naprawdę była nim zainteresowana. Teraz jej obawa przed małymi chłopcami wydała mu się zwyczajną wymówką.

Nie życzy sobie przez nią cierpieć, stwierdził. Ale utrzymywanie dystansu też nie jest łatwe.

Gdy wrócili z placu zabaw, zauważył, że wyprawa ta dużo ją kosztowała. Miała rozszerzone źrenice i oczy pełne łez.

- Nie powinnaś była tam iść - powiedział. - To było zbyt bolesne.

Pokręciła głową.

- Musiałam. I dobrze mi to zrobiło. Już mi przeszło. Ten rozdział został zamknięty. Teraz mogę zająć się przyszłością.

- Bardzo się z tego cieszę.

Zazdrościł jej takiego wewnętrznego spokoju. On też chciałby go osiągnąć.

W miarę upływu czasu napięcie między nimi powoli opadało. Maria zauważyła to zjawisko wiele lat wcześniej. W sezonie urlopowym obserwowała wówczas sporo wakacyjnych romansów. Podobno niektóre skończyły się ślubem.

Jako pracownika, a nie turystkę, intrygowało ją wtedy, dlaczego pozornie przytomni ludzie tak szybko się zakochują. Teraz zaczynała to rozumieć. Podjęła decyzję.

Następnego dnia przy kolacji rzuciła mimochodem:

- Nie gniewaj się, Tom, ale dowiedziałam się, że w naszym hotelu jest opiekunka do dzieci. Znam ją, ma na imię Melanie i jest bardzo odpowiedzialna. Jutro po lunchu ma poprowadzić wycieczkę do zoo. Na razie jest tylko trójka chętnych. Zapisalam na nią Jamesa. Myślę, że pod opieką Melanie nic mu się nie stanie.

- A my spędzimy całe popołudnie razem?

- Po to w hotelach są opiekunki.

- To brzmi bardzo obiecująco.

- Bardzo. Przepadam za Jamesem, ale jutro przez parę godzin będziemy mogli zachowywać się jak dorośli. Masz coś przeciwko temu?

- Ależ skąd! Jak zawsze inicjatywa należy do ciebie.

W jego oczach wyczytała zaciekawienie.

Przedpołudnie upłynęło im na placu zabaw, kupowaniu upominków dla babci Kate oraz na oglądaniu jachtów na przystani. Potem zjedli lunch.

Nieco później Melanie wraz z trójką dzieci przyjechała po Jamesa. Uściskała serdecznie Marię, powiedziała, że się za nią stęskniła i zapewniła ją, że nowa szefowa jest całkiem w

porządku, choć Maria była lepsza. Przyjemnie słuchać takich opinii, pomyślała Maria.

Melanie poprosiła o numer komórki Toma, przypięła Jamesa w foteliku i odjechała. Patrząc za znikającym samochodem, Maria poczuła się trochę nieswojo. Nie z troski o Jamesa - on był w dobrych rękach, lecz obawiając się konfrontacji z Tomem. Musi jednak zrealizować swój plan. Zapewne i on coś wymyślił.

- Mamy teraz dla siebie co najmniej trzy godziny - powiedział. - Co byś chciała robić?

Starannie dobierała słowa:

- Mam wrażenie, że oboje jesteśmy trochę zmęczeni. Mieliśmy rano dużo wrażeń. Odpocznijmy. Z mojego pokoju roztacza się ładniejszy widok niż z twojego, więc moglibyśmy usiąść na balkonie, porozmawiać, może coś poczytać...

- Czemu nie? Mnie to odpowiada.

Zgodnie ruszyli do jej pokoju. Na balkonie stały dwa leżaki, stolik i wiklinowa kanapka. Tom bez wahania na niej usiadł. Maria obok niego.

Nagle poczuła, że się denerwuje, że serce wali jej jak oszalałe oraz że ma czerwone policzki.

- Zaczekaj chwilkę - powiedziała.

Wróciła do pokoju, podeszła do telefonu i po hiszpańsku złożyła w recepcji zamówienie. Przy okazji mile zaskoczona stwierdziła, że nadal biegle włada tym językiem.

Wyszła na balkon.

- James ma takie fantastyczne wakacje głównie dzięki tobie - zauważył Tom. - Ale jak ty się czujesz?

- Wyśmienicie. Tom jesteśmy na urlopie. Nic nas nie krępuje i nie obowiązują nas żadne zasady. Podczas urlopu robi się rzeczy, na które człowiek nie odważyłby się przez resztę roku.

- Na przykład buduje zamki z piasku? - zapytał niewinnym tonem.

- Oraz uprawia przeróżne sporty ekstremalne. - Ta uwaga kazała mu przyjrzeć się jej badawczo.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Gdy je otworzyła, do pokoju wszedł kelner z tacą, na której stało srebrne wiaderko z lodem i butelka szampana oraz dwa kieliszki. Postawił tacę na stoliku i na znak dany przez Marię odkorkował szampana i napełnił kieliszki, po czym dyskretnie zniknął. Tom przeniósł wzrok z tacy na Marię, ale się nie odezwał.

- To jest hiszpański szampan, ale kiedyś bardzo mi smakował - oświadczyła. - To będzie mój pierwszy szampan od czterech lat. Wypijemy go razem. - Podała mu kieliszek. - Za udaną przyszłość. I za teraźniejszość.

Zdażyła zapomnieć, jak smakuje szampan, jak przyjemne są bąbelki, ale teraz się jej to przypomniało, sprawiając jej wielką radość.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, bo wtedy i ja jestem szczęśliwy. Wybrałaś doskonałego szampana.

Popijali w milczeniu. Nie było nic sztucznego w tym, że Tom nagle ją objął i pocałował.

Przez jakiś czas cieszyła się tym, że siedzi przy nim z głową opartą na jego ramieniu. Niczego więcej nie pragnęła. Jeszcze nie. Delektowała się powoli wzbierającym w niej pożądaniem.

Tom spojrzał jej w oczy. W jego wzroku dostrzegła pragnienie zmieszane z niepewnością.

- Wiem, o czym myślisz. - Zniżyła głos. - Nie mylisz się. Wiesz, co chcę ci dać i zastanawiasz się, dlaczego. Mam rację?

- Mniej więcej.

- To będzie wyjątkowa okazja, niepowtarzalna i bez dalszych konsekwencji. Podobasz mi się od samego początku, od kiedy razem klęczeliśmy na chodniku przy tym nieprzytomnym człowieku. Potem miałam okazję poznać twoją dobroć, delikatność i troskliwość. Ale teraz mam na ciebie ochotę, bo fantastycznie wyglądasz. Poza tym są wakacje i nie obowiązują nas żadne zasady. Pójdiesz ze mną do łóżka?

W odpowiedzi bez słowa ją pocałował. Tym razem ku jej radości gwałtownie i zaborczo. Aż zadrżała na myśl, co ją czeka. Wstali oboje i mocno się obejmując, weszli do środka. Gdy stanęli przy jej łóżku, ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli go zawiedzie? Poprzednim razem nie sprawiła mu zawodu, ale to dlatego, że oboje jeszcze nie ochłonęli z wrażeń wywołanych pożarem. Teraz sytuacja była zdecydowanie inna.

- Gdy kochaliśmy się pierwszy raz... - zaczął, odgadując jej myśli - robiliśmy to w pośpiechu. Rozpaczliwie chcieliśmy dać wyraz radości, że żyjemy. Teraz będzie inaczej. Teraz będziemy rozkoszować się każdą chwilą. Wiem, że będę z tobą szczęśliwy i chcę ci dać tyle samo szczęścia.

- Samo przebywanie z tobą sprawia mi ogromną radość - szepnęła. - Rozbierzesz mnie?

Tego ranka bardzo starannie dobierała garderobę i dokładnie zaplanowała każdy krok.

Odrzuciwszy niedbałym gestem jej bluzkę na fotel, Tom oniemiał. Pierwszy raz w życiu pozwoliła sobie na tak kosztowną bieliznę. Wybrała ją specjalnie na tę okazję. Poprzedniego dnia pod pretekstem jakichś nieciekawych zakupów sama wypuściła się do miasta. Stała teraz przed nim w biustonoszu z delikatnej czarnej koronki, a on nie mógł oderwać oczu od jej pełnych piersi.

Pieścił je wzrokiem i dłońmi, nie rozpinając stanika. Nie spieszył się. Potem rozpiął jej dzinsy, które powoli opadły na

podłogę, i z westchnieniem odsunął się, by móc ją podziwiać. Pierwszy raz miała na sobie tak piękną koronkową bieliznę. Jeśli robi na nim takie wrażenie, trzeba kupić więcej takich kompletów.

Teraz przyszła kolej na nią. Ściągnęła mu przez głowę sweter, rozpięła spodnie, by podziwiać jego gładkie ciało i muskularny tors. Gdy był już nagi, przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości, czy jej pożąda. Poczuła, jak krew uderza jej do głowy. W końcu Tom wprawnym ruchem rozpiął jej biustonosz. Gdy zsunęła ramiączka, pochylił się, by całować jej piersi, podniecając ją jeszcze bardziej.

Potem przeniósł ją na łóżko, sięgnął po butelkę z szampanem i cienką strużką oblał jej skórę. W kontakcie z zimnym płynem Maria zadrżała. Mimo to uśmiechnęła się, słysząc odgłos pękających bąbelków. Pochylił się, by zlizać szampana, jeszcze bardziej ją rozgrzewając.

- Jak przyjemnie - westchnęła.

- Uwielbiam smak twojej skóry. Mario, czy ty zdajesz sobie sprawę, co mi robisz?

- To samo co ty mnie. Jeszcze nigdy nie było mi tak cudownie.

Obsypywał pocałunkami jej ramiona, wewnątrz dłoni, szyję, ale zawsze powracał do piersi. Czasami ich ciała się dotykały i wtedy czuła wzbierające w nim pożądanie. Z nią działo się to samo. Było dobrze, wspaniale, ale na pewno będzie jeszcze lepiej.

- Tom, chcę... chcę...

Nie musiała niczego wyjaśniać. Bez słowa wsunął dłoń pod gumkę jej koronkowych majteczek, a ona pomogła mu je zdjąć. Jego wargi powoli zsuwały się z jej piersi na brzuch, coraz niżej... Chwyliła go za ramiona.

- Tom... błagam... proszę. Już... teraz... - Sama nie wiedziała, czy prosi, by przestał, czy by nie przestawał.

Gdy ukląkł nad nią, przyciągnęła go do siebie. Przyjęła go z cichym westchnieniem. Oto są razem. Wiedziała, czego on pragnie, bo sama tego pragnęła. Ich zespolone ciała przez jakiś czas falowały łagodnie, ale to nie mogło trwać w nieskończoność. Coś jej podpowiadało, że są dopiero w pół drogi, że czekają ich jeszcze silniejsze wspólne doznania. Po chwili, która wydała jej się wiecznością, razem osiągnęli szczyt rozkoszy. Świat się zakolysał, czas stanął w miejscu. Tom opadł na nią bez tchu.

- Jesteś wspaniała - wyszeptał.

- Ty też.

Gdy leżeli przytuleni, Maria rozmyślała o tym, co się wydarzyło i uznała, że tych chwil nigdy nie zapomni.

Przypomniała sobie, co mu powiedziała wcześniej: „To będzie wyjątkowa okazja, niepowtarzalna i bez dalszych konsekwencji”. Wtedy naprawdę w to wierzyła. Teraz jednak powoli do niej docierało, jak bardzo się oszukiwała. Tom jest dla niej całym światem. Ale sama go ostrzegała, że to się nie powtórzy. Długo będzie żałowała tych słów.

A może on nie wziął ich na serio? Wątpliwe.

Gdy w hotelowej restauracji jedli ostatnią kolację na Majorce, nagle usłyszała głos, który wydał jej się znajomy:

- Maria! Maria Wyatt w moim hotelu! Ludzie z „Heleny” mówili, że tu jesteś, ale nie uwierzyłem. Mario, witaj!

Podniosła wzrok, po czym wstała od stołu, by przywitać się z potężnie zbudowanym mężczyzną. Objęła go serdecznym gestem i pocałowała w policzek.

- John, jak się cieszę, że cię widzę.

Gdy się odsunęła, John popatrzył z uwagą na Toma i Jamesa.

- Widzę, że przyjechałaś tu z całą rodziną - zauważył z szerokim uśmiechem. - Wyjeżdżałaś od nas jako kobieta niezamężna.

- Do tej pory nie wyszłam za mąż. To jest mój dobry znajomy, doktor Ramsey, oraz jego syn James.

Tom zaprosił Johna, by się do nich przysiadł. Przy okazji Maria wyczuła, że pomimo tego przyjaznego gestu Tom wzmógł czujność. Nie wiedział, kim jest John oraz czy cokolwiek go z nią łączyło. Pochlebiała jej taka sytuacja.

- Chwilkę z wami posiedzę. Widzę, że już czekacie na kawę, więc pozwolę sobie zaproponować wam degustację likieru ze specjalnych zapasów szefa. Dla ciebie, młody człowieku, też mam coś wyjątkowego - rzeki do chłopca.

- Dziękuję - powiedział grzecznie James.

John wezwał kelnera, by szeptem wydać mu polecenie.

- John był moim przełożonym - wyjaśniła Maria. - Bardzo mi pomagał. Bez niego bym zginęła.

- Musiałem na ciebie chuchać i dmuchać, bo byłaś moim najlepszym pracownikiem.

Wrócił kelner. Oprócz dzbanka z kawą na tacy stały trzy kieliszki, butelka oraz aromatyczny owocowy koktajl ozdobiony plastikowymi kwiatkami i świecidełkami.

Kosztując trunek, Tom z podziwu aż uniósł brwi. Również Maria uznała, że likier rzeczywiście zasługuje na miano specjału szefa.

- Opowiedz mi, co się z tobą działo.

- Ukończyłam szkołę dla położnych. Pracuję razem z Tomem. Zajmujemy się ciężarnymi i noworodkami.

- Ach tak. - John zerknął na Toma. - Domyślam się, że na stałe mieszkasz w Anglii. Nie chciałabyś wrócić na Majorkę?

- Raczej nie.

- Szkoda. Pełnię teraz funkcję menedżera wszystkich hoteli naszej sieci w tej części wyspy. Chętnie cię zatrudnię. Tom, pozwolisz jej odejść?

- Maria należy do mnie - odparł Tom, mrużąc oczy.

- Mimo to ta oferta, Mario, będzie zawsze aktualna. Z trudem cię rozpoznałem, bo masz krótkie włosy. Dawniej nosiłaś zdecydowanie dłuższe.

Wzruszyła ramionami.

- Zmieniłam styl - wyjaśniła. - Obcięłam je po powrocie do Anglii. Powiedz mi więcej o tej pracy.

- Potrzebujemy jednej osoby na stanowisko szefa wszystkich opiekunek do dzieci, a jest ich teraz kilkadziesiąt. Cały etat, samochód służbowy - wyliczał - willa oraz szczodre wynagrodzenie. Bardzo szczodre. Uważam, że to jest coś w sam raz dla ciebie.

Popatrzyła na Toma. Jak zawsze zachował kamienną twarz. Dlaczego nie chce jej pomóc? Wystarczyłoby jedno zdanie.

- Do kiedy mam się zdecydować? - zapytała lekko zdesperowana.

- Najpóźniej przed samym początkiem letniego sezonu. Jesteśmy elastyczni, takiej kandydatce jak ty pójdziemy na rękę. Daj mi znać, jak będziesz zainteresowana. Zacznie, kiedy zechcesz.

Wcale nie była zainteresowana.

- Odezwę się mniej więcej za tydzień.

- Nie spiesz się.

Rozległo się znamienne bulgotanie, znak, że James już kończy swojego egzotycznego drinka.

- Było pyszne - oznajmił.

- Coś mi się wydaje, synu - odezwał się Tom - że jesteś porządnie zmęczony. Pora do łóżka. - Wstał i podał Johnowi rękę. - Miło było cię poznać. - Teraz zwrócił się do niej. - Mario, zobaczymy się przy śniadaniu. Zostań, żeby pogadać o starych, dobrych czasach.

- Ja też padam z nóg - wtrąciła pospiesznie. - Chętnie się położę. Mogę za dziesięć minut zająć do was, żeby Jamesowi powiedzieć dobranoc?

- Jasne. James, idziemy.

Rozmawiała z Johnem jeszcze chwilę, ponieważ to spotkanie sprawiło jej prawdziwą przyjemność, przypomniało jej radosne chwile spędzone na Majorce. Dziesięć minut później ziewnęła i oznajmiła, że musi się pożegnać. John nie protestował.

Gdy weszła do pokoju Toma, James już spał. Jednak i Tom, i ona doskonale wiedzieli, że potrzeba ułożenia chłopca do snu była jedynie pretekstem. Tom poprowadził ją do saloniku i dalej na balkon, gdzie usiedli obok siebie na wiklinowej kanapce, by podziwiać morze, które powoli ginęło w mroku.

- Sympatyczny ten John - rzucił Tom od niechcienia. - Chyba dobrze się z nim pracuje.

- Bardzo dobrze. Poza tym przyjaźniliśmy się. Kilka razy nawet umówiliśmy się po godzinach pracy. Ale na tym poprzestaliśmy. Cieszę się, że go dzisiaj spotkałam. Zapewniam cię jednak, że nie mam zamiaru odgrzewać tego układu, tym bardziej że nic między nami nie było.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo chcę, żebyś wiedział. Chciałeś to usłyszeć, prawda?

- Nie mam prawa dobierać ci przyjaciół. Ale tak, chciałem to usłyszeć.

Pogładził ją po włosach. Bardzo ostrożnie, ale ona z radością przyjęła tę pieszczotę. To znaczy, że znika ich wzajemna nieufność.

- Mam pytanie - powiedział. - John wspomniał, że miałaś długie włosy. Dlaczego je ścięłaś?

- Chyba się domyślasz... - odpowiedziała po chwili namysłu. - Na znak pokuty. Jamesowi wypadają włosy, więc czułam, że też powinnam...

- Teraz już nie ma potrzeby pokutować. Pozwolisz im odrosnąć?

- Tak. Chyba tak.

Objął ją i pocałował. W miarę jak rytm jego serca przyspieszał, czuła, jak nasila się reakcja jej własnego ciała. Przygarnął ją mocniej, ale w tej samej chwili rozległ się płaczliwy głosik:

- Tatooo...

- Zaraz zaśnie - szepnął Tom. - Zostań. Wakacje jeszcze się nie skończyły.

Pokręciła głową, mimo że z całego serca pragnęła skorzystać z tego zaproszenia.

- Tom, my też musimy się wyspać. Mamy za sobą bardzo długi dzień. A ja robiłam rzeczy, o których już zapomniałam. Jestem naprawdę zmęczona.

- Ja nie będę spał. Będę myślał o tobie. Pospiesznie pocałowała go w policzek, a gdy ruszył do Jamesa, wymknęła się z pokoju.

Nie mylił się, przewidując bezsenną noc. W jego myślach panował zamęt. Co z nią zrobić? Odkąd zjawiała się w przychodni, w jego życiu emocjonalnym zapanował prawdziwy chaos.

Na początku nie był zachwycony jej obecnością. Mimo że upłynęły cztery lata, nadal cierpiał z powodu śmierci Jane. Przez wzgląd na Jamesa musiał jakoś ułożyć sobie życie. Ale potem poznał Marię. Zdobył się na wyznanie, jakie wcześniej wydawało mu się nierealne, ale ona go odtrąciła. Powiedział wtedy, że się w niej zakochuje, a ona zakazała mu to mówić. Może dobrze zrobiła? Miała swoje powody i mu je podała. Lecz z czasem przestały być wiarygodne. Gdy zorientował się,

jak łatwo nawiązuje kontakt z Jamesem, zaczął się zastanawiać, czy lęk przed dziećmi nie jest wygodną wymówką. Jej na nim nie zależy.

Przyjechali na Majorcę jako para przyjaciół. Spali ze sobą, a on do śmierci nie zapomni tego popołudnia. Ale ona zastrzegła się, że są wakacje, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nic poważnego ich nie łączy.

A do tego ten John Kersh. Ona twierdzi, że to jej sprawdzony przyjaciel. Zapewne sama w to wierzy, ale w spojrzeniu Johna dostrzegł coś, co wskazywało, że ten człowiek ją ubóstwia. A ona wyraźnie go lubi.

Poczuł, że jest zazdrosny. Oraz kompletnie zagubiony. Chyba najlepiej byłoby nabrać do niej jeszcze większego dystansu, by dłużej się nie męczyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stało się to na pokładzie samolotu, którym wracali do Anglii. James siedział przy oknie, Maria w środku, a Tom przy przejściu, dzięki czemu od czasu do czasu miał okazję wygodnie wyciągnąć nogi.

Od kilku minut lecieli w milczeniu, zajęci własnymi myślami. W pewnej chwili Maria doznała olśnienia: kocha Toma. Naprawdę i z całego serca. Nie dlatego, że on ją pociąga ani że ona lubi jego towarzystwo. Kocha go prawdziwą miłością, która nigdy nie wygaśnie. To odkrycie mocno nią wstrząsnęło.

Powinna się domyślić, na co się zanosi. Poprzedniego dnia oddała mu się bez najmniejszych zahamowań. Nawet nie wiedziała, że tak potrafi. Ale nie myślała wtedy o przyszłości. Powiedziała mu, że to jest wakacyjny romans bez żadnych zobowiązań. Oszukała jego oraz siebie.

Przez cztery lata jej życie upływało pod znakiem smutku i lęku z powodu przeszłości, która zniechęcała ją do normalnych kontaktów z ludźmi. Teraz ten strach zniknął. Wyzwoliła się od niego. I kocha Toma. Co on do niej czuje? Tego nie była pewna. Ale wiedziała, że on postępuje zgodnie z zasadami. Ponieważ spali ze sobą, może czuć się zobowiązany... Nie, niczego od niego nie oczekuje. Przeświadczenie, że powinien zachować się w konkretny sposób, nie powinno mieć wpływu na to, co do niej czuje.

Bezwiednie przerwał jej rozmyślenia w najmniej odpowiednim momencie, bo ona nadal nie wiedziała, czego chce, ani jak to osiągnie.

- Widzę, że nad czymś mocno się zastanawiasz. Jeśli masz jakiś problem, to może pomogę ci go rozwiązać?

Nie mogła mu powiedzieć, jaki wątek tak bardzo ją pochłonął.

- Zastanawiałam się nad tym, co wydarzyło się wczoraj. Nad naszym wakacyjnym romansem.

Odetchnął głęboko.

- Ja też o tym myślałem - odparł po chwili. - Wczoraj wszystko się zmieniło. Jestem ci winny...

Zagotowało się w niej.

- Nic mi nie jesteś winny! - prychnęła. - To był wakacyjny romans. Dalszego ciągu nie będzie!

- Czuję, że...

Odwróciła wzrok na Jamesa. Spał, ale w każdej chwili mógł się obudzić.

- Nie będziemy o tym rozmawiać w samolocie. Twój syn siedzi tuż obok - zasyczała. - Ale powinniśmy sobie wyjaśnić kilka spraw. Kiedy możemy się spotkać?

- W środę wieczorem. Jeanette, która opiekuje się Jamesem, musi iść na jakiś szkolny koncert. Wpadniesz?

- Przyjadę, jak ta pani wyjdzie, a James będzie spał.

Poniedziałek, wtorek i środa minęły w pracy bardzo spokojnie, co niepomrotnie ją zdziwiło. Pobyt na Majorce całkowicie odmienił jej życie. Dlaczego życie innych biegnie dawnym torem?

Ich tajemnica, jeśli w ogóle była to tajemnica, wkrótce się wydała, ponieważ James pochwalił się wszystkim w przedszkolu, że był na Majorce z tatą i Marią. Należało się tego spodziewać. Nie wywołało to jednak żadnych komentarzy ani aluzji, ale gdyby nawet tak się stało, Maria puściłaby je mimo uszu. Odniosła wrażenie, że informacja ta została przyjęta wręcz przychylnie.

W końcu nadszedł środowy wieczór. Upewniwszy się, że jest wystarczająco późno, a James na pewno już śpi, pojechała do Toma.

Nie ma nic złego w tym, że pocałowała go na powitanie. Są przecież dobrymi przyjaciółmi. Ale też i pospiesznie się od niego odsunęła.

- Idź do salonu, a ja zaparzę herbatę - powiedział. Nie usiadł na kanapie obok niej, ale na fotelu na wprost. Siedzieli twarzą w twarz. Tom wyglądał na zmartwionego.

- Mam wrażenie, że przynosisz mi złe wieści - rzekł.

Sporo się nad tym wcześniej zastanawiała. Pragnęła go bezgranicznie, ale jednocześnie musiała dać mu szansę, by to, co jej powie, płynęło z głębi serca. Nie chciała więcej słuchać o honorze oraz zasadach. Tom musi jej pragnąć dla niej samej.

- Nie takie złe - odezwała się po chwili namysłu. - Po pierwsze, chcę ci powiedzieć, że nigdy nie zapomnę tego, jak się kochaliśmy na Majorce. Ale uważam, że należy położyć temu kres. Wtedy to były wakacje, teraz wróciliśmy do codzienności, w której nie ma miejsca dla kochanków. Wróciliśmy do punktu wyjścia: pracujemy razem i jesteśmy przyjaciółmi. Nic poza tym, Tom.

Uśmiechnęła się sztucznie. Rozpaczliwie pragnęła, by nie wziął tego oświadczenia poważnie, by wyczuł, że pod tą zasłoną okrucieństwa jest sama czułość przeznaczona wyłącznie dla niego. Ale musi dać mu tę szansę. Przypomniała sobie, że gdy powiedziała mu o strachu przed kontaktem z Jamesem po tym, jak kochali się pierwszy raz, Tom wyraźnie ochłódł.

- Czy mam przez to rozumieć, że jesteśmy tylko przyjaciółmi?

- Jesteśmy przyjaciółmi, którzy razem pracują.

- No cóż, chociaż tyle - westchnął. - Ale widzisz, Mario, moim zdaniem to jest niewykonalne. Byliśmy sobie tacy bliscy, tego nie można zapomnieć. I ty też tego nie potrafisz. Sama nie wiesz, czy chcesz poważnie się zaangażować, czy wycofać. Teraz widzę, że chcesz się wycofać.

- To chyba najlepsze wyjście. Nie sądzisz? - Za wszelką cenę starała się mówić swobodnym tonem, by zrozumiał, że jego decyzja w ogóle jej nie interesuje. Nie przychodziło jej to łatwo.

- Wobec tego bądźmy przyjaciółmi, jeśli tak sobie życzysz - rzekł półgłosem. - Herbata stygnie.

Przez co najmniej pół godziny siedział wpatrzony niewidzącym wzrokiem w dwie filiżanki wypełnione płynem. Powiedziawszy swoje, Maria straciła ochotę na herbatę. Prawdę mówiąc, można było wyczuć, że jak najszybciej chce wyjść. Pod byle jakim pretekstem niemal biegiem ruszyła do drzwi.

No cóż, jeśli nie chce u niego zostać, nikt nie ma prawa jej zatrzymywać. Trudno było mu w to uwierzyć. Gdy się kochali, łączyło ich coś zdecydowanie silniejszego niż zwierzęcy popęd. Czuli wtedy, że Maria oddaje mu nie tylko swoje ciało, ale i duszę, a on zrobił to samo. To były magiczne chwile. A teraz taki chłód! Mają być przyjaciółmi, którzy razem pracują!

Westchnął. Ogarnął go smutek z domieszką złości. Jak ona mogła oddać mu się tak bez reszty, a przy tym twierdzić, że to tylko wakacyjny romans?!

Może wakacyjne miłostki to jej specjalność? Nie, nie wolno mu tak myśleć. Wstał i ruszył do barku.

Od samego początku bardzo lubiła swój pokoik w domu pielęgniarek. Aby poczuć się jak u siebie, do standardowego wyposażenia dodała parę drobiazgów: kolorową narzutę na łóżko, wzorzyste poduszki, korkową tablicę z widokówkami i zdjęciami. Ale tego wieczoru, po wizycie u Toma, zrozumiała, że nie jest to jej prawdziwy dom.

Zamarzył jej się taki dom jak Toma. Z dużą i porządnie wyposażoną kuchnią, a nie z używalnością jednej wspólnej kuchni na piętrze; przestronną sypialnią z podwójnym łóżkiem

oraz salonem z prawdziwym kominkiem. Przede wszystkim jednak brakowało jej rodziny. Chciała, by witał ją tam ktoś, kto ją kocha. Dziewczyny z hostelu były świetnymi kumpelkami, ale stanowiły marną namiastkę rodziny.

Zrobiła sobie herbatę, bo herbaty u Toma nie tknęła. Chyba dlatego, że tak pośpiesznie stamtąd wyszła. Potem usiadła, by się zastanowić. Zdaje się, że jej życie zawaliło się po raz drugi. Przeżyje i tym razem. Ma wprawę. Za to zupełnie nie wiadomo, jak ułożą się ich stosunki w przyszłości.

Mimo jej obaw pierwsze spotkanie należało zaliczyć do udanych.

- Nie wypilałam wczoraj twojej herbaty - rzuciła bez troski.
- Nie szkodzi. Poprawię się następnym razem.

- Aha. - W jego głosie zabrzmiało wahanie. - Zapraszam.

Uśmiechnęła się do siebie zadowolona, że go zaskoczyła: takiej reakcji się nie spodziewała. Odrobina niepewności mu nie zaszkodzi.

Przed południem ciężarne. Bez problemów. Przyszłe mamy skarżyły się na ból w krzyżu, niestrawność albo bezsenność. Wszystkie jednak były zdrowe i z niecierpliwością oczekiwały rozwiązania. Po południu przyszła pora na mamy z noworodkami. Ta grupa pacjentek również była zadowolona, ale tym razem było o wiele więcej tematów do rozmowy.

Gdy pod koniec dyżuru raz jeszcze przeglądała karty pacjentek, przypomniało się jej, że dawno nie widziała Tracy McGee, która na żądanie partnera wypisała się ze szpitala. Tracy na pewno potrzebuje pomocy. Tom wprawdzie ostrzegał Marię, by się nie wtrącała, przekonywał ją, że Tracy ma prawo żyć, jak jej się podoba, oraz że sama powinna podejmować życiowe decyzje. I co z tego? Tracy należy pomóc nawet wbrew jej i Toma woli.

Czuła, że w pewnym sensie chce Tomowi dać nauczkę, pokazać mu, że nie jest nieomylny. Tracy na pewno potrzebuje pomocy.

- Jadę z wizytą domową - poinformowała recepcjonistkę. Tym razem jednak nie wpisała się do księgi wyjść. Wpisze się, jak wróci do przychodni.

Otoczenie wieżowca było wyjątkowo ponure. Wszędzie wałały się śmieci, a na parkingu stały dwa wypalone wraki samochodów. Postanowiła minąć wieżowiec i zostawić auto w bardziej bezpiecznym miejscu.

Jeszcze większe wątpliwości ogarnęły ją, gdy weszła do bloku. Tutaj wszystkie ściany od podłogi po sufit pokrywały graffiti, podłogę zaścielały śmieci, w powietrzu unosił się podejrzany zapach. Windy stały nieczynne. W chwili wahania przyszło jej do głowy, że wcale nie musi tego robić. Mimo to ruszyła na górę.

Kolejnym problemem było znalezienia mieszkania Tracy. Które to drzwi? Na schodach natknęła się na siwowłosą kobietę o zmęczonej twarzy.

- Jestem położną i szukam Tracy McGee. Czy wie pani, który to numer?

Kobieta z lękiem wskazała na jedno z drzwi.

- Niech pani tam lepiej sama nie wchodzi - ostrzegła ją półgłosem. - Ten jej facet... On jest nieobliczalny. Niech pani nie mówi, że to ja...

Maria przestraszyła się nie na żarty. No ale skoro powiedziało się „a”... Na wszelki wypadek wyjęła komórkę i wystukała numer przychodni.

- Wchodzę do mieszkania numer 570 w bloku Dorian Towers - zameldowała się recepcjonistce Molly. - Na drzwiach jest wielka czarna plama. Idę zbadać Tracy McGee. Jeśli nie odezwę się za godzinę, zwiadam Toma, dobrze?

- Mario, nie powinnaś chodzić tam sama. Zaczekaj...

- Nic mi nie będzie - oznajmiła i wyłączyła komórkę. Wcale nie czuła się dzielna.

Zapukała do drzwi. Ktoś coś krzyknął, zapewne nic miłego, ale drzwi nie otworzył. Zapukała znowu, tym razem bardzo głośno.

- Położna do Tracy McGee! - zawołała. Teraz drzwi się otworzyły. Stała oko w oko z nieogolonym osobnikiem w brudnym ubraniu, ze skrzywką w ustach, owianym znamionami zapachem marihuany.

- Tracy nie potrzebuje położnej - warknął.

- Zbliża się poród, trzeba ją zbadać. Panie...?

- Nazywam się Lovett

- Panie Lovett, Tracy nie była całkiem zdrowa, kiedy zabrał ją pan ze szpitala. Trzeba na nią uważać, bo inaczej ona i dziecko będą mieli problemy.

- Jakie problemy?

- Zapewne wszystko jest w porządku, ale chciałabym mieć absolutną pewność. Bo zawsze istnieje ryzyko...

Troglodyta się zamyślił.

- Tracy ostatnio marnie się czuje - powiedział, cedząc słowa - ale do szpitala nie pójdzie. Źle mnie tam potraktowali. Jak śmiecia. Niech pani wejdzie, bo mnie prosiła, żebym kogoś sprowadził.

Weszła, starając się nie oglądać na boki. Lovett poprowadził ją do sypialni, w której stało łóżko z brudną pościelą, krzywa szafa i obdrapana komódka. Wszędzie na podłodze wałały się ubrania.

Tracy była bardzo blada i wyglądała marnie, ale uśmiechnęła się na widok Marii.

- Chyba się zaczęło - jęknęła. - W łóżku zrobiło się mokro, mam bóle i...

- To na pewno nie poród - mruknął mężczyzna.

- Noworodki nie uznają żadnych rozkładów jazdy - odparła Maria. - Proszę nas na chwilę zostawić. Niech pan zagotuje duży gar wody. - W takich sytuacjach jak ta polecenie przygotowania wrzątku jest najlepszym sposobem pozbycia się niechcianych doradców.

Naciągając gumowe rękawiczki, obserwowała grymas bólu na twarzy dziewczyny. Wsunęła rękę pod koc, by pomacać jej brzuch. Tak, to skurcz.

- Twoje dziecko wkrótce się urodzi - oświadczyła. - Teraz zbadam ciebie.

Wystarczyło jej pół minuty, by uznać, że nie będzie to poród w domu. Przede wszystkim ułożenie płodu było nieprawidłowe, a poza tym w takim brudzie nie może być mowy o porodzie. Odeszła od łóżka, by zamknąć drzwi. Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Molly.

- Powiedz Tomowi, że Tracy rodzi. Może zajść konieczność cesarskiego. Przyślijcie karetkę..

- Gdzie pani dzwoni? Najwyraźniej wszedł drzwiami z kuchni.

- Panie Lovett, mamy kłopot. Tracy musi jechać do szpitala. Dzwonię do szefa, żeby zamówił ambulans...

- Jesteś położną, więc sama się tym zajmij! - ryknął. - Tracy nigdzie stąd nie wyjedzie!

- Musi. Moim zdaniem...

- Powiedziałem, że sama masz się tym zająć. I nie wyjdiesz stąd, dopóki nie skończysz. - Ku jej zaskoczeniu wyrwał jej komórkę, cisnął nią o podłogę, po czym rozgniółł butem. Popchnął ją w stronę łóżka.

- Jesteś od tego, żeby rozwiązywać takie problemy. A jeśli się tym nie zajmiesz, to ja się z tobą policzę!

- Tracy może umrzeć! - zawołała Maria. - Nie rozumie pan? To jest bardzo poważna sprawa...

Nagle rozległo się łomotanie do drzwi. To nie było grzeczne stukanie. Tak się dobija ktoś, kto nie zamierza zrezygnować. Dobiegł ich męski głos:

- Doktor Ramsey! Otwórz drzwi, albo je rozwalę! Jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa, słysząc jego głos. Również pierwszy raz miała okazję stwierdzić, że kipi wściekłością.

Lovett był zbyt naćpany albo po prostu zbyt tępy, żeby to zarejestrować.

- Wracaj, skąd przyszedłeś! - odkrzyknął.

W tej samej chwili rozległ się ogłuszający trzask, zamek puścił i drzwi się otworzyły. W progu stał blady ze złości Tom. Wielkimi krokami podszedł do Lovetta, który aż się skurczył na jego widok.

- Jazda pod ścianę! - warknął. - Nie ruszaj się i milcz, bo cię wyrzucę przez balkon! To nie jest groźba, to obietnica. - Poszukał wzrokiem Marii.

- Nic ci się nie stało?

- Nic mi nie jest, ale Tracy jest w opałach. Akcja porodowa trwa za długo. Musimy natychmiast przewieźć ją do szpitala.

Tom zerknął na Tracy, po czym wyjął komórkę, żeby połączyć się ze służbami ratowniczymi.

- Doktor Ramsey. Potrzebuję karetkę. Jak najprędzej. Mamy dziecko w drodze, matka w ciężkim stanie. Dzięki.

Potem zbadał Tracy.

- Pozostaje nam tylko się modlić - powiedział, zwracając się z poszarzałą twarzą do Marii. - Zadzwoń do szpitala, żeby przygotowali salę i postawili Mike'a Donovana w stan gotowości. Za minutę zejdziesz na dół, żeby wskazać drogę ratownikom.

- Jasne. - Mają do czynienia z poważnym przypadkiem, więc powinna myśleć wyłącznie o pacjentce, ale... - Tom, jak

to się stało, że zjawiał się tu tak szybko? - zapytała. - Ledwie skończyłam rozmawiać z Molly, a ty już się tu dobijałeś.

- Bo już tu byłem. Molly natychmiast mi powiedziała, gdzie jesteś, więc od razu za tobą przyjechałem. Mario, postąpiłaś bardzo głupio. Martwiłem się o ciebie.

Teraz miał prawo być zły. Wybaczyła mu nawet to, że zarzucił jej głupotę.

- Przepraszam - powiedziała skruszonym tonem. - Wyjdę już do karetki.

Trochę ją cieszyło, że Tom się o nią niepokoił.

Tom pojechał karetką razem z Tracy, a Maria za nimi jego samochodem. Miała też zadzwonić do przychodni i poprosić, by ktoś przyprowadził jej auto pod szpital, oraz do Kate, matki Toma, aby odebrała Jamesa z przedszkola. Sprawa na pewno się przedłuży.

Gdy stawiała się w szpitalu, Tracy już przygotowywano do zabiegu, a zespół operacyjny się przebierał.

Poprosiła, by i ją włączono do zespołu, argumentując, że w razie konieczności może reanimować noworodka oraz odnieść go na oddział specjalnej opieki.

Do operacji przystąpiło dwóch lekarzy: Tom oraz Mike Donovan. Z początku wszystko szło gładko. Stan Tracy był stabilny, dziecko się urodziło. Przekazano je Marii, która na tę chwilę cierpliwie czekała w sąsiedniej sali.

W dziesięciopunktowej skali Apgara służącej do oceny stanu noworodka synek Tracy otrzymał niezłą notę sześciu punktów. Zważywszy na tak skomplikowany poród, był w całkiem dobrym stanie. Po wszystkich badaniach i oczyszczeniu dróg oddechowych umieszczono go w przenośnym inkubatorze, który Maria miała przekazać oddziałowi noworodków. Już kładła rękę na klamce, gdy usłyszała krzyk:

- Gwałtowny skok ciśnienia!

Zawahała się. Ale teraz jej podopiecznym był noworodek, nie Tracy. Pospiesznie ruszyła na neonatologię.

Jej pomoc bardzo się przydała, ale ponieważ nie należała do zespołu specjalnej opieki, jej misja bardzo szybko dobiegła końca. W związku z tym wróciła do sali operacyjnej. Tracy już tam nie zastała. Przewieziono ją na oddział intensywnej opieki.

- Co się stało? - zapytała jedną z pielęgniarek, która już się przebierała.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Pierwszy raz coś takiego widziałam - odrzekła zmęczonym głosem. - To było przerażające. Skoczyło jej ciśnienie, zaczęła nam odjeżdżać. Pierwszy połapał się doktor Ramsey. Zator.

- Co takiego?! Zator?! Gdzie on jest?

- Na intensywnej opiece. Siedzi przy niej. Na to nie ma ratunku. Nic jej nie pomoże, można tylko czekać. Jeśli przeżyje najbliższe trzy, cztery godziny, to powinna z tego wyjść.

Zator! Jakie to niesprawiedliwe. Taki sam zator był przyczyną śmierci Jane, jego żony. W Anglii zdarza się to bardzo rzadko, mniej więcej pięć przypadków na rok, a Tom już drugi raz musi się temu przyglądać. Bez trudu sobie wyobraziła, jak się czuje.

Zeszła na oddział intensywnej opieki, wyjaśniła, dlaczego interesuje się tą pacjentką, więc ją wpuszczono. Tracy leżała pod baterią sprzętu monitorującego jej stan, a obok łóżka siedział Tom. Zgarbiony i ze zwieszoną głową.

Podeszła do niego, ale najpierw spojrzała na monitory. Wynikało z nich, że Tracy walczy o życie, ale w przypadku zatoru sytuacja może z minuty na minutę diametralnie się zmienić. Położyła dłoń na ramieniu Toma. Popatrzył na nią zdziwiony, ponieważ nie słyszał, jak weszła.

- Niewiele na to poradzisz - powiedziała. - Dobrze wiesz, że możemy tylko czekać na cud.

- Więc czekam na ten cud. Mario, James...

- Rozmawiałam już z Kate. Zostanie z nim na noc.

- O wszystkim pomyślałaś. Co ja bym bez ciebie zrobił?

Co byś beze mnie zrobił?

Czuwali w milczeniu, aż stan Tracy niemal niedostrzegalnie zaczął się poprawiać, ale w przypadku zatoru wszystko jeszcze mogło się zmienić. Jednak po trzech godzinach życie Tracy przestało być zagrożone.

Jedna z pielęgniarek odważyła się w końcu zwrócić Tomowi uwagę, że traci czas, przeszkadza personelowi oraz że najgorsze mają już za sobą. Powinien jechać do domu. Jeśli chce, może zostawić numer swojej komórki, a ona go zawiadomi, gdyby nastąpiło pogorszenie. Tom, sam ledwie żywy, chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju, po czym błędnym wzrokiem popatrzył na Marię.

- W takim stanie nie powinieneś jechać do domu

- powiedziała - bo przestraszysz Kate. Chodź do mojego pokoju. Dam ci kawę i herbatnika. Możesz wziąć prysznic.

- Dobrze. - Nie miał siły protestować. Zaprowadziła go do swojego pokoju, posadziła na łóżku, a sama poszła do kuchni zaparzyć kawę. Pod jej nieobecność umył ręce oraz twarz, co nieco go otrzeźwiło.

- Przepraszam za kłopot - zaczął - ale przez ten zator wróciły wspomnienia o Jane. To było bardzo... przykre.

- Przykre? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- To się zdarza.

Z trudem panowała nad sobą.

- Tak ułożyłeś sobie życie, że nie masz nikogo

- zauważyła ze smutkiem. - Jesteś całkiem sam. Nawet własną matkę trzymasz na dystans, nigdy nie mówisz jej, co

czujesz. Odciałeś się od ludzi... Powszechnie wiadomo, że jesteś twardzielem, który ze wszystkim sam sobie radzi.

- Taki już jestem. I w ten sposób staram się rozwiązywać swoje problemy.

Westchnęła.

- Ale nie zawsze ci się to udaje, prawda? Posłuchaj, zdejmij buty i się połóż.

Chyba się przestraszył, bo posłusznie wykonał jej polecenie.

- Jeszcze przez kilka godzin nie musisz wracać do domu. Teraz potrzebny jest ci kontakt z żywym człowiekiem.

Położyła się obok niego na wąskim łóżku i oparła jego głowę na swoim ramieniu.

- Nie ma tu żadnej erotyki - oświadczyła. - W tej chwili potrzebujesz ciepła i... bliskości drugiego człowieka.

Czuła, jak powoli uchodzi z niego złość i strach, jak jego mięśnie stopniowo się rozluźniają.

Zastanawiała się, czy jest wobec niego szczerą. Na pewno chciała podnieść go na duchu. To samo zrobiłaby dla każdego z przyjaciół w takim stanie, ale tym razem chodziło też o coś więcej. W ten sposób próbowała mu pokazać, jak bardzo przydaje się bliska osoba. Oraz uzmysłwić, jak cudownie byłoby dzielić z nią łóżko.

On spał, a ona czuwała u jego boku szczęśliwa, że jest przy nim. Potem się obudził.

- Już pójdę. - Spojrzał na zegarek. - I tak zabrałem ci za dużo czasu, a ty okazałaś mi tyle serca...

- To samo zrobiłbyś dla mnie albo dla innego przyjaciela.

- Niewykluczone. - Nałożył buty. - Co dalej będzie z nami? Znowu z tobą spałem, ale całkiem inaczej.

- Nic się nie zmieniło - odrzekła z kamienną twarzą. - Jesteśmy przyjaciółmi. - Przyszło jej do głowy, że mimo

wszystko mogłaby cokolwiek mu zasugerować. - Jeśli kiedyś przestaniesz ci to odpowiadać, decyzja należy do ciebie.

Pocałował ją w czoło.

- Mario, nie zasłużyłem na ciebie.

Jeszcze mnie nie masz, pomyślała, ale będę twoja, gdy mnie zechcesz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia zjawiała się nowa, nie zapisana pacjentka, Jan Casey. Była od stóp do głów ubrana na czarno, miała na czarno ufarbowane włosy, prawie biały makijaż i kapiące od tuszu rzęsy. Wyglądała na szesnaście lat.

- Jestem koleżanką Tracy McGee - przedstawiła się. - Wczoraj byłam u niej w szpitalu. Czy pani już wie, że ma syna i że lepiej się czuje?

- Wiem. Też złożyłam jej wizytę. Bardzo się cieszę, że jej stan się poprawia.

- Była u niej kobieta z wydziału do spraw rodziny. Obiecali znaleźć jej mieszkanie, żeby nie musiała mieszkać z tym potworem Lovettem. Tracy mówi, że teraz musi być odpowiedzialna, że musi zacząć nowe życie.

- Myślę, że jej się to uda - odrzekła Maria. - Tracy jest bardzo dzielna. Jan, co cię tu sprowadza?

- Hm, ja... Wiem od Tracy, ile pani dla niej zrobiła i że dla mnie będzie pani tak samo dobra. Boję się powiedzieć mamie i nie pójdę do tego naszego rejonowego lekarza...

Maria westchnęła.

- Ile masz lat? - zapytała.

- Prawie szesnaście - odparła dziewczyna po namyśle.

- „Prawie” to za mało. W oczach prawa ciągle jesteś niepełnoletnia i powinnaś tu przyjść z mamą.

W oczach Jan pojawił się strach.

- Nie powiem jej. I niech pani też jej nie mówi. Niech mi pani obieca, że nic jej pani nie powie.

- Na razie nie ma czego utrzymywać w tajemnicy - zauważyła Maria. - Niech zgadnę. Jesteś w ciąży?

- To nie jest wykluczone. Jeszcze nie mam pewności. Słabo się czuję, ale może to po alkoholu. Nie ma pani takiej pigułki, którą się bierze następnego dnia?

- Mam, ale czasami są przeciwwskazania. Kiedy ostatni raz poszłaś z kimś do łóżka?

Maria odniosła wrażenie, że pod białym makijażem dziewczyna się zaczerwieniła.

- Prawdę mówiąc... zrobiłam to tylko jeden raz - wykrztusiła Jan. - To znaczy... poszliśmy na całego. Dla zabawy. Odwiedziłam kumpla, wypiliśmy trochę, a później...

- Rozumiem. Mielście jakieś zabezpieczenie?

- Nie. Daliśmy się ponieść... ale staraliśmy się uważać... tak trochę.

Maria postanowiła nie drażnić, co znaczy „uważać tak trochę”.

- Kiedy to było? - zapytała. Jan zastanowiła się.

- Jakies dziesięć dni temu.

- Hm. Ta pigułka działa przez mniej więcej siedemdziesiąt dwie godziny, więc na nią już za późno. Jeśli nie jesteś w ciąży, zapoznam cię z różnymi metodami zapobiegania. - Podała dziewczynie niewielki pojemniczek. - Idź do toalety i przynieś mi próbkę moczu. Najlepiej ze środkowego strumienia. - Czy to znaczy, że już wszystko będzie w porządku?

- Powoli... załatwmy to po kolei.

Wskaźnik nie zmienił koloru, co oznaczało, że Jan nie jest w ciąży. Maria uśmiechnęła się dyskretnie, a Jan westchnęła z ulgą. Wymieniły spojrzenia.

- Jan, wbrew temu, co mówiła Tracy - zaczęła Maria - nie mogę się tobą opiekować. Sama musisz myśleć o sobie. Jeśli będziesz sypiać z mężczyznami bez zabezpieczenia, prędzej czy później zajdziesz w ciążę.

Co jej powiedzieć? Może, zrobiwszy próbę ciążową, po prostu odesłać ją do domu? Ale jak będzie wyglądała przyszłość tej małolaty? Czy pouczanie jej należy do obowiązków położnej?

- Masz piętnaście lat. - Już podjęła decyzję. - Jesteś nieletnia, więc nic dla ciebie nie mogę zrobić. Zgodnie z prawem decyzję o podjęciu pożycia płciowego może podjąć dziewczyna, która ukończyła szesnaście lat. Ale, oczywiście, zrobisz, co zechcesz.

- Chyba się na to zdecyduję. Umoralniający wykład na nic tu się nie przyda,
pomyślała Maria.

- Bez odpowiedniego zabezpieczenia można też zarazić się różnymi chorobami - ciągnęła.

- Na przykład AIDS?

- Także AIDS. Ale jest jeszcze parę innych schorzeń, znacznie bardziej rozpowszechnionych i bardzo nieprzyjemnych. Zapalenie dróg moczowo - płciowych, chłamydia, kiła. Wszystkie leczą się bardzo trudno. - Popatrzyła na Jan, po czym westchnąwszy, zadzwoniła do Molly, by uprzedzić ją, że przez najbliższe pół godziny będzie zajęta. - Zapoznam cię teraz z zagadnieniem zapobiegania ciąży, bezpiecznego seksu oraz chorób przekazywanych drogą płciową. Masz tu kilka ulotek. W domu je sobie przeczytaj. Ale przede wszystkim pamiętaj, że w kwestii seksu to ty podejmujesz decyzję. Ja niczego ci nie podpowiem. Mogę tylko poradzić, jak uniknąć kłopotów. Pół godziny później dziewczyna opuściła gabinet.

- No, chyba już skończyliśmy - oznajmił Tom, wyrównując plik dokumentów. - Masz czas na kawę?

Raz w tygodniu spotykali się, by omówić poszczególne przypadki i zastanowić się nad uzupełnieniem zapasu leków. Tom należał do tych modelowych szefów, którzy w wielu istotnych sprawach konsultują się z podwładnymi, dzięki czemu cały zespół czuje, że współuczestniczy w kierowaniu przychodnią.

- Nie mam czasu na kawę. Czy coś jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

Minęło pięć dni od operacji Tracy oraz nocy, którą Tom spędził na łóżku Marii. Ale ani razu o tym nie wspomniał. Może nie chce przypominać sobie tej chwili słabości?

Teraz sprawiał wrażenie szczerze zakłopotanego.

- Chyba już wiesz, że Kate jest w Australii, prawda? Oraz że James ma opiekunkę Jeanette?

- Oczywiście, że o tym wiem. James pochwalił mi się widokówką z Australii.

- No tak... Posłuchaj, w piątek wieczorem mam ważne spotkanie, które może się przeciągnąć, a Jeanette nie może przyjść do Jamesa. Pomyślałem... James podsunął mi ten pomysł... że może ty byś mu towarzyszyła? Musiałabyś u nas zanoćować.

Przyglądała się tej nieprzeniknionej, ukochanej twarzy. Dlaczego sobie nim zawraca głowę?

Bo go kocha. I zrobi dla niego, o co ją poprosi.

- Przyjadę. Już nawet się za nim stęskniłam. O której mam odebrać go z przedszkola?

Razem z Jamesem coś zjedli i obejrżeli kasetę wideo z komiksami i bajkami. Potem przyszła kolej na kąpiel. Miała przez cały czas wrażenie, że bawi się w dom, że jest matką oraz żoną, której mąż ma zajęty wieczór. Sprawiało jej to przyjemność, mimo że ta gra obudziła w niej bolesne wspomnienia.

W ogromnym fartuchu matki Toma klęczała przy wannie i wraz z Jamesem bawiła się nakręcaną łodzią podwodną. Potem, gdy leżał w łóżku, czytała mu bajkę, dopóki nie zasnął.

Zeszła do kuchni, gdzie zjadła najbardziej samotną kolację w całym swoim życiu.

Tom pościelił jej łóżko w pokoju Jamesa. Nie mogąc zasnąć, pomyślała, że pomoże jej kubek gorącego mleka.

Wstała i w koszuli nocnej, na którą narzuciła szlafrok, wymknęła się z pokoju. Dech jej zaparło, gdy na korytarzu niemal zderzyła się z Tomem. Stali twarzą w twarz.

- Wydawało mi się, że James mnie wołał - powiedział Tom. - Szedłem zajrzeć do niego.

A może chciał popatrzeć na nią?

- Wstałam, żeby zagrzać sobie mleko - wyjaśniła.

Tom nie ruszył się z miejsca, tęsknie wpatrując się w jej oczy. Ona tymczasem czuła, że można wyczytać w nich to samo.

- Zrobić ci coś do picia? - zagadnęła.

- Nie, dziękuję. Dobranoc.

Gorące mleko nie pomogło. W trakcie bezsennej nocy przypomniła sobie propozycję Johna Kersha. Teraz, kiedy przeboleła śmierć synka, z powodzeniem mogłaby wrócić na Majorkę. Zacząć nowe życie. Po raz kolejny.

Ale czy to życie jest takie złe? Kocha swoją pracę, ma szansę na awans, ma przyjaciół, wszystko oprócz... Pora na konfrontację z brutalnymi faktami.

Kocha Toma. Beznadziejnie i bezgranicznie. Ale on nie chce albo nie może jej pokochać.

Dłużej tego nie wytrzyma. Poinformuje go o swojej decyzji w nadchodzącym tygodniu. Poprosi o przeniesienie do szpitala, a tam za jakiś czas złoży wymówienie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tracy przybrała na wadze, wyglądała bardzo schludnie. Zrezygnowała też z paru kolczyków oraz z wojskowej kurtki. Była zmęczona, ale zadowolona, i co chwila z dumą spoglądała na swój skarb w wózku.

- Przestałam brać - pochwaliła się Marii. - Mam małe mieszkanko, o które bardzo dbam. Zaczynam nowe życie.

- Nie będzie ci łatwo, ale jestem pewna, że się uda. Dziewczyna pokiwała głową.

- Zobaczysz pani. Teraz mam Olivera. I obowiązki. Za rok pójdę na kurs do college'u.

- Widzę, że wszystko masz zaplanowane - stwierdziła Maria ostrożnie. - Co dzieje się z twoim chłopakiem... z tym Lovettem?

Tracy posmutniała.

- Z Andym? Przegoniłam go. Ja chcę odmienić swoje życie, a on nie. Musiałam wybrać między nim i Oliverem, więc wybrałam Olivera.

- Nie przykro ci z tego powodu?

- Trochę. Wiem, że mnie na swój sposób kochał, i ja chyba też go kochałam. Ale musiał odejść. Nie chcę go więcej oglądać.

Twarda dziewczyna, pomyślała Maria z uznaniem.

Zanosilo się na bardzo trudną rozmowę, ale skoro Tracy potrafiła rozstać się z kochanym mężczyzną, to i ona, Maria, też się na to zdobędzie.

Weszła do pokoju Toma późnym popołudniem.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła od progu. Odsunął na bok plik dokumentów.

- Owszem. Od rana na to czekam.

- Spodziewałeś się tego? - zapytała zaskoczona.

- Dlaczego?

- Znamy się już czas jakiś. - Uśmiechnął się smutno. - I wiem, kiedy coś cię trapi. Częściej marszczysz czoło. I nie od razu odpowiadasz na zadawane ci pytania, a to oznacza, że myślisz o czymś innym.

Nie zdawała sobie sprawy, że tak łatwo ją przejrzeć... albo że Tom jest aż tak spostrzegawczy.

Żeby nie przedłużać tej rozmowy, postanowiła jak najprędzej wyłożyć sprawę.

- Chcę odejść z przychodni i wrócić do szpitala. O ile wiem, mam takie prawo.

To oświadczenie wyraźnie zbiło go z tropu, ale nie stracił zimnej krwi.

- Przykro nam będzie rozstawać się z tobą. Dlaczego? Wydawało mi się, że jest ci u nas całkiem dobrze. - Ściągnął brwi. - Chyba nie chcesz wrócić na Majorkę?

- Nie, to nie ma nic wspólnego z propozycją Johna - odparła zirytowanym tonem. - Chociaż może z niej skorzystam. Jest mi tutaj źle. Jest mi źle z twojego powodu. Jesteś za bardzo opanowany, za bardzo zamknięty w sobie. Jesteś sympatycznym facetem, ale wszystko dusisz w sobie, a ja nie potrafię tego zaakceptować.

- Ale, Mario...

- Za późno...

W nocy, kiedy już położył się spać, czuł beznadziejną wewnętrzną pustkę. Życie bez Marii straci sens.

Mieli tyle wspólnego: pracę, przekonania, upodobania. Przypomniawszy sobie, że dwukrotnie wyznał jej miłość i dwukrotnie ona ją odtrąciła. Tak bardzo go to zabolowało, że przysięgnął sobie więcej nie ryzykować.

Gdyby choć raz pokazała mu, że jej na nim zależy, że go kocha, sytuacja byłaby zdecydowanie inna. Wówczas podjąłby to ryzyko. Lecz ilekroć się zbliżyli, mówiła wprost, że nie zamierza się angażować. Może on należy do tych,

którzy biorą więcej, niż dają? Ale gdyby ona dała mu szansę, oddałby się jej bez reszty. Lecz Maria ma prawo wyboru. Ona go nie kocha, więc będzie zmuszony żyć bez niej.

Wcale nie chciała opuszczać przychodni. Miała tu zgrany zespół i dużo swobody w organizowaniu sobie pracy. W szpitalu będzie jednym z wielu trybików.

Ogromną przyjemność sprawiała jej praca z Tomem, ale to właśnie przez niego czuje się zmuszona odejść. Do tej pory się trzymała, ale uznała, że dłużej nie wytrzyma. Więc odeszła szybko i cicho, bez zbędnych pożegnań.

- Jakoś będziemy sobie radzić - powiedziała Jenny, gdy Maria przekazała jej swoją decyzję. - Mam położną, która z radością zajmie twoje miejsce, ale ona tobie nie dorównuje. Poza tym zawsze będę mogła cię wezwać.

- Czy to znaczy, że nie masz nic przeciwko temu?

- Nie do końca. - Jenny bawiła się kopertą. - Mam tutaj twoją rezygnację. Wycofaj ją.

Maria potrząsnęła głową.

- Jenny, wykluczone. Będę tu nieszczęśliwa. Muszę myśleć o sobie.

- Schowam tę kopertę do szuflady i na razie nie podejmę żadnych kroków. Zobaczymy, może jeszcze zmienisz zdanie.

- Będzie jeszcze gorzej. Teraz się trzymam, bo coś robię, podejmuję decyzje. Ale same decyzje nie wystarczą.

- Wiem coś o tym. - Jenny uważnie przyjrzała się koleżance. - Powiesz mi, co się stało? Wydawało mi się, że tobie i Tomowi znowu zaczęło się układać.

- Też mi się tak wydawało, ale nic z tego nie wyszło. Jenny, mogłabym dać mu tyle szczęścia, ale on ciągle się boi.

- Odniosłam wrażenie, że stopniowo z tego wychodzi.

- Bo tak było. - Maria z trudem hamowała łzy. - Dał mi szansę. Powiedział raz, że się we mnie zakochał. Ale ja go

wtedy zgasiałam, więc znowu zamknął się w sobie. Obiecał, że już nigdy czegoś takiego nie powie, i nie powiedział.

- Próbowalaś z nim rozmawiać? Dać mu do zrozumienia, że możesz zmienić zdanie?

- To musi wyjść od niego. On wie, że już nie boję się dzieci. Najgorsze jest to, że to on się boi. Nie chce nikogo pokochać ze strachu, że znowu straci najbliższą osobę. Teraz cierpimy oboje. Serce mi pęka na myśl, że zostawię tego jego słodkiego chłopczyka... Jenny, dłużej tego nie wytrzymam.

- Tom nie okazał, że zmieni zdanie, kiedy go poinformowałaś, że chcesz odejść?

- Wysłuchał mnie bez mrugnięcia powieką.

Gdy już od jakiegoś czasu pracowała w szpitalu, zadzwonił Tom.

- Chciałem się upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku. Wszystkim nam bardzo ciebie brakuje. Nie dasz się namówić do powrotu?

- Też mi pytanie! Żyję - odparła. - Cześć.

Pewnego poranka, kiedy odsypiała nocny dyżur, obudziło ją natarczywe pukanie do drzwi. Półprzytomna narzuciła szlafrok. Na korytarzu ujrzała Jenny.

- Co się stało? - zapytała, przysiadając na łóżku.

- Wiem, że właśnie skończyłaś dyżur - zaczęła Jenny - ale przed chwilą dowiedziałam się o czymś, o czym powinnam cię poinformować.

- Słucham.

Przyjaciółka położyła jej rękę na ramieniu.

- W nocy przywieziono na oddział ratunkowy Jamesa Ramseya. Wypadek drogowy. Tom akurat wysiadł z auta, kiedy jadący z dużą prędkością samochód dostawczy złapał gumę, wpadł w poślizg i uderzył w samochód Toma, a tam siedział James. Chłopiec jest ranny.

Maria siedziała jak oniemiała.

- Ciężko?

- Bardzo ciężko. Ma obrażenia klatki piersiowej i podwójne pęknięcie kości udowej, ale najgorszy jest uraz czaszki. To zdarza się bardzo rzadko, ale wystąpił krwotok zewnątrzoponowy.

- Co to znaczy w jego przypadku?

- Na szczęście na miejscu był chirurg, który natychmiast go operował, więc mały ma szansę na... przeżycie.

Jeszcze raz? - pomyślała Maria. Czy to drugie dziecko, które... kocham, też umrze?

- Jest na intensywnej opiece - mówiła Jenny. - Tom czuwa przy nim, ale ma pełną świadomość, że może tylko czekać i liczyć na cud.

- Jenny, muszę do nich jechać. Poszukasz kogoś, kto mnie dzisiaj zastąpi?

- Już to zrobiłam. Przyniosę ci kawę, a ty się ubierz.

Spojrzała na baterię urządzeń wokół łóżka, na którym leżał James. Jego stan był krytyczny. Z bezwładnego ciała przeniosła wzrok na Toma. Siedział zgarbiony, wpatrując się w synka, jakby w ten sposób mógł mu pomóc. Gdy wyczuł jej obecność, przeniósł wzrok na nią.

- Maria? Co ty tu robisz?

W pierwszej chwili krew ją zalała. Jak on śmie zadawać takie bezduszne pytanie?! Potem jednak zapanowała nad oburzeniem. Przypomniała sobie, że kamienny spokój jest jego naczelną bronią. Znała go na tyle, by wiedzieć, co on teraz przeżywa, mimo to uznała, że ma prawo przypomnieć mu, że inni też coś czują.

- Przyszłam tu, bo pokochałam twojego syna. Oraz dlatego, żeby cię wesprzeć. W jakim on... jest stanie?

Zastanawiała się, co jest gorsze: jako laik mieć słabe pojęcie o medycynie, czy też jako specjalista w pełni zdawać

sobie sprawę z konsekwencji każdej najmniejszej zmiany w stanie chorego.

- Popatrz na monitory - powiedział. - Nie uda się, jego organizm tego nie wytrzyma. O wszystkim zadecydują najbliższe godziny. Jeśli je przeżyje, ma szansę. Jest dokładnie tak samo jak w przypadku Tracy. I Jane. Na razie wszystko jest jedną wielką niewiadomą.

Zdrętwiała z przerażenia. Jak on może mówić o tym tak beznamiętnym tonem? Przecież to jest jego dziecko! No tak, to cały Tom.

Pocałowała go w policzek. Może taka odrobina ciepła nieco podniesie go na duchu?

- Jak długo tu siedzisz?

- Przez całą noc. Przywiozłem go tu, mimo że samochód jest pogruchotany. Po drodze zawiadomiłem szpital. Koszmar...

Nareszcie jakieś emocje!

- Teraz ja przy nim posiedzę - oznajmiła - a ty może byś się ogolił, wziął prysznic, przebrał się i coś zjadł? Na pewno masz bardzo niski poziom cukru. W takim stanie mu się nie przydasz. Musisz być silny. Jak cokolwiek się zmieni, natychmiast dam ci znać.

Ociągał się z odpowiedzią, jakby nie bardzo rozumiał, co do niego mówi.

- Jak zawsze położna Wyatt ma rację - odezwał się w końcu. - Zastosuję się do twoich zaleceń. Masz numer mojego pagera?

- Idź już. Podejrzewam, że nie dasz się namówić choćby na drzemkę.

- Wykluczone.

Wrócił dwadzieścia minut później. Od drzwi popatrzył na monitory. Bez zmian.

- Miałaś słuszość. Może nie czuję się lepiej, ale na pewno mam więcej sił - przyznał. - O, dostawiłaś drugie krzesło.

- Będę siedzieć razem z tobą.

- Dziękuję, ale nie musisz. Poradzę sobie... Trudno jest krzyczeć szeptem, ale jej się to udało:

- Jeszcze raz powiesz, że sobie poradzisz, to ode mnie dostaniesz! Po pierwsze, jestem tutaj dla Jamesa. Po drugie, wierzę, że moja obecność choć trochę ci pomoże. Chcę ci pomóc, bo... bo chcę!

Już miała na końcu języka „bo cię Kocham”, ale uznała, że nie jest to odpowiednia chwila.

Siedzieli w milczeniu. Nagle wskazówki na zegarach nieznacznie drgnęły, a James jęknął i się poruszył. Przełom. W którą stronę?

Weszła pielęgniarka, popatrzyła na chłopca, by po chwili wrócić z pediatrą, który zamyślił się, po czym położył Tomowi rękę na ramieniu.

- Wiesz, co to znaczy? - zapytał, zniżając głos.

- Jeśli przeżyje następną godzinę, będzie żył. Pediatra wydawał się zaskoczony tak rzeczową odpowiedzią.

- Tak. Będę na sąsiednim oddziale, gdyby zaszła... jakaś radykalna zmiana... - mruknął.

Minęły wieki, a oni siedzieli, trzymając się za ręce, i czekali. Wskazówki znowu drgnęły, potem jeszcze raz, aż powoli zaczęły wracać do normalnego poziomu. Pielęgniarka szeroko się uśmiechnęła.

- Chyba najgorsze mamy za sobą - powiedziała.

- Jego stan nadal jest poważny, ale teraz nic mu nie grozi. Doktorze, niech pan poszuka sobie jakiegoś łóżka i się prześpi. Wygląda pan jak upiór. Niech pan zostanie w szpitalu. Zawiadomię pana, gdyby coś się zmieniło.

Sprawił wrażenie zdezorientowanego.

- Chodź ze mną - odezwała się Maria. - Możesz drugi raz przespać się w moim pokoju. Nie możesz być sam.

Bez protestów, nie rozbierając się, padł na łóżko i natychmiast zasnął. Usiadła w fotelu, nogi oparła na krzesło i też zasnęła.

Tom obudził się pierwszy. Gdy otworzyła oczy, pochylał się nad nią.

- Co z Jamesem? - zapytała.

- Coraz lepiej. Wstałem pół godziny temu i zadzwoniłem do siostry dyżurnej. Zapewniła mnie, że nie ma powodu do zmartwień.

- Nie poszedłeś do niego? Nie musiałeś mnie budzić, mogłeś potem opowiedzieć mi o wszystkim przez telefon. Wiesz chyba, że chcę wiedzieć, jak on się czuje?

- Wiem, ale możemy pójść do niego razem. Chcę, żebyśmy razem do niego poszli.

Miała przed sobą energicznego, wypoczętego Toma, który już w pełni panował nad emocjami. Powzięła pewne podejrzenie...

- Dlaczego się obudziłam? Potrząsałeś mną?

- Nie. Pocałowałem.

Tak jej się wydawało, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to był sen. Bardzo przyjemny. A jednak pocałował ją naprawdę.

- Nie wolno całować śpiących. To się nazywa molestowaniem.

- Można całować śpiących, pod warunkiem że się ich kocha - odparł niespieszony.

- Jeśli się ich kocha?

- To właśnie powiedziałem.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że mnie kochasz?

- Trochę trwało, zanim to do mnie dotarło, a jeszcze dłużej zbierałem się na odwagę, żeby ci to wyznać. Tak, Mario, kocham cię.

Wstała, lekko się chwiejąc.

- Siadaj i nie ruszaj się - powiedziała. - Musimy porozmawiać. Kochasz mnie?

- Jeszcze nikt tak bardzo cię nie kochał jak ja.

- Muszę oprzytomnieć. - Przeszła do łazienki, obmyła twarz zimną wodą, po czym przejrzała się w lustrze. Wyglądała jak zhora.

Ale Tomowi to nie przeszkadza.

Powiedział, że ją kocha! Pomimo zmęczenia pojęła, że od tej chwili jej życie potoczy się nowym torem. On ją kocha. Chyba powinna wyjść do niego i wyznać mu miłość.

Wpadła prosto w jego ramiona.

- Uwielbiam się z tobą całować - szepnęła. - Tom, kocham cię od... O mały włos wyznałabym ci miłość jeszcze w samolocie, kiedy wracaliśmy z Majorki.

- Naprawdę? Niemożliwe. Byłem przekonany, że nic dla ciebie nie znaczę.

- A ja myślałam, że jesteś inteligentny. Posadził ją na łóżku i objął.

- Porozmawiajmy poważnie - poprosił.

- Ale krótko. A potem znowu mnie pocałujesz.

- Jestem lekarzem, więc zdawałem sobie sprawę z ryzyka, wiedziałem, że James może umrzeć.

- Tom, to już minęło, a on wraca do normy.

- Przeżywałem to samo co wtedy, kiedy umarła Jane. Co by było, gdybym i jego stracił?

- Ale tak się nie stało. I się nie stanie. Tom, nie myśl o tym.

- Tak, muszę się postarać. Sądzę, że dzięki tobie będzie to możliwe. - Pocałował ją delikatnie. - Podejrzewam, że kocham

cię od samego początku naszej znajomości. Od chwili, kiedy oboje pochylaliśmy się nad tym staruszką potraconym na ulicy. Potem wyczułem, że masz jakieś problemy, więc postanowiłem ci pomóc. Bezczelny jestem, prawda?

- Ale mi pomogłeś! Pokazałeś, że warto żyć.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że robię to dla siebie, jak i dla ciebie. Nie zdawałem sobie sprawy, że się zakochałem, a kiedy to do mnie dotarło, wpadłem w panikę.

- To zrozumiałe. Przeżyłeś śmierć Jane.

- Niezupełnie. Bo kiedy dzisiaj się obudziłem, nagle wszystko stało się jasne. Samo życie jest ryzykowne. Byłbym idiotą, gdybym ze strachu, że stanie się coś złego, odrzucił szansę na szczęśliwe życie z tobą. Nie stanie się nic złego. Dlaczego miałoby się stać? Mario, kocham cię. I chcę z tobą iść przez życie. Jak się na to zapatrujesz?

- Czy mogę się jutro do ciebie wprowadzić?

- Oczywiście. Pod warunkiem że na zawsze.